



PAUL HEYSE

---

# Wiedźma z Korsza

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

PAUL HEYSE

## Wiedźma z korsa

TŁUM. BERTOLD MERWIN

Było to w marcu. Zapadał mrok; natłok powozów i piechurów, przepelniających przez kilka godzin korsa<sup>1</sup> w każde popołudnie, zaczął się rozpraszać. Wracalem z dalekiej wędrówki srodze zmęczony i zdązałem do mieszkania, położonego w pobliżu Piazza del Popolo<sup>2</sup>. Wtem szybkie moje kroki wstrzymała nagle dobrze mi znana przydługa postać w piaskowym paltocie i szerokim szarym kapeluszu. Stał bez ruchu ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami na chodniku, jak falochron, dokoła którego tłum przechodniów przewijał się w lewo i w prawo. Oczywista, nie obeszło się bez pomruków, syków i pomstowań. Lecz mało to obchodziło samotnika. Miał wzrok utkwiony bez przerwy w okna na drugim piętrze domu naprzeciw, gdzie jednak nie widać było ani światła, ani żywej istoty, ani nawet żadnych ozdób artystycznych. Był to narożny dom przy Via de' Pontefici<sup>3</sup>, jedna z owych bezbarwnych, niczym się niewyróżniających klatek dla ludzi, w które obfituje ta historyczna ulica.

Wyznaję, iż mimo wyczerpania ogarnęła mnie wielka chęć dowiedzenia się, co mego przyjaciela przykuło do tego miejsca i zamieniło jak gdyby w słup soli. Zaznajomiłem się z nim zaledwo przed kilku tygodniami; zdołał jednak w tym krótkim czasie zyskać moją sympatię. Był to człowiek w wysokim stopniu posiadający ową cudowną mieszaninę kultury światowej z niemal dziecięcą naiwnością, którą napotkać można u ludzi o wysokim locie wyobraźni, kiedy z ciasnych kręgów prześnionej młodości wydostają się na szerokie rozłogi<sup>4</sup> życia. Ten najmłodszy syn pastora holsztyńskiego<sup>5</sup> dopiero w dwudziestym roku życia zadecydował o swym przyszłym losie, wyrzekając się nagle studiów teologicznych i udając się mimo przeszkód i niedostatku na praktykę do budowniczego. Gdy jego uzdolnienia przerosły zakres wiedzy budowniczego, dopomogli bogaci dobrodzieje jego ojca, tak że mógł rozpocząć studia w berlińskiej<sup>6</sup> akademii. Otrzymał tam stypendium i w dwudziestym czwartym roku życia wydosłał się na południowe stoki Alp<sup>7</sup>. Tyle wiedziałem z jego własnych zwierzeń; obecnie pracował w Petersburgu<sup>8</sup>, miał więcej zleceń, niż mógł wykonać, toteż, nie chcąc się dać strawić niezmordowanej pracy, wyrwał się na pewien czas, by zimę spędzić po części w Neapolu<sup>9</sup>, po części w Rzymie<sup>10</sup>.

Zatrzymałem się i czekałem, czy sam nie otrząśnie się z zamyślenia, w jakie popadł. Nie było jednak tak ciemno, iżbym nie mógł dokładnie dostrzec każdego rysu jego twarzy. Nie można jej było nazwać piękną według utartych pojęć; była nieco przydługa i chuda; wystające kości, skóra blada, bezkrwista. Lecz gdy mówił, oczy skrzyły się ogniem, a gdy szerokie usta poczynaly się uśmiechać, gładka, pozbawiona brody twarz promieniała młodzieńczym urokiem, niemal dziewczęcym powabem, który potęgował jeszcze

Miasto, Samotnik,  
Tajemnica

<sup>1</sup>korso a. *Via del Corso* — historyczna ulica rzymska, łącząca piazza Venezia i piazza del Popolo. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Piazza del Popolo — jeden z najbardziej znanych placów w płn. części Rzymu. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Via de' Pontefici a. *Via dei Pontefici* — historyczna ulica rzymska. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>rozłóg — rozległy obszar, błonia, stepy. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Holsztyń — historyczna kraina w północnych Niemczech. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>Berlin — największe miasto i stolica Niemiec. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Alpy — najwyższy łańcuch górski Europy, ciągnący się od Savony do Wiednia. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Petersburg — miasto w Rosji, położone w delcie Newy nad Zatoką Fińską. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Neapol — miasto w płd. Włoszech, w centrum Zatoki Neapolitańskiej; stolica regionu Kampania i prowincji Neapol. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Rzym — stolica i największe miasto Włoch, położone w środkowej części kraju nad rzeką Tyber i Morzem Śródziemnym. [przypis edytorski]

lekki rumieniec. Gęste, długie włosy zwisały na kark. Jasny ich połysk ustępował już gdzieś bezbarwnej siwiźnie.

Stał tak przede mną, profilem skierowany wciąż w tę samą stronę; wyraz jego twarzy nie zdradzał wcale, co marzycielską duszę przykuwało do tego miejsca.

Przystąpiłem wreszcie do niego i cicho wyszeptałem jego nazwisko. Ujrzałem, że jakby prąd elektryczny przeszył długą postać od stóp do głowy; jak gdyby niespodzianie huknęło nad uchem lunatyka... Lecz wkrótce opanował się zupełnie; tylko przed oczyma jego snuły się jeszcze mgły, a dokoła ust błąkał się uśmiech pokrywający nieudolnie lekkie zakłopotanie.

— Ach, to pan! — powiedział. — Cieszę się, że pana widzę. Zdaje się, że zbyt długo stałem tu na zawadzie rzymskim brukotłukom<sup>11</sup>. Są jednak dni i nastroje... proszę, niech pan pójdzie... — wziął mnie pod ramię. — Będę panu towarzyszył... nie zawsze jest dobrze być samotnym... a może pan ma jakie inne zamiary?

Powiedziałem mu, iż zmierzałem do domu, aby się pokrzepić szklanką wina i pomarańczą, gdyż jest jeszcze zbyt wcześnie na kolację.

— Jeśli nie ma pan żadnych innych planów — powiedział szybko — bardzo proszę towarzyszyć mi kilka kroków w stronę bramy. Tam w pierwszej lepszej osterii<sup>12</sup> znajdzie pan i wino, i owoce, a przy tym będziemy się rozkoszowali boską aurą wiosenną. Cięży mi coś na piersi... Zdaje mi się, że udusiłbym się między czterema ścianami... A jeśli pan się zdobędzie na odrobinę cierpliwości, znalazłbym może tyle odwagi, by panu opowiedzieć starą historię, która z niezwykłą żywością, niemal upiornie, dziś wyłoniła się w mej pamięci i męczy mnie...

Zdjął kapelusz i przecierał wąską, niezwykle białą ręką czoło, na którym perlily się krople potu i zwisały zlepione kosmyki jasnych włosów. Przy czym próbował się znowu uśmiechnąć.

Szedłem milcząc obok niego. Przeszliśmy przez Porta del Popolo<sup>13</sup> na stary flamiński gościniec<sup>14</sup>, ożywiony ruchem zaprzęgów i gromad wieśniaczych. Po prawej i lewej stronie dolatywały echa rozgwaru w szynkowniach<sup>15</sup>. Z prastarego domu, który ongi<sup>16</sup> był pałacem, przenikały dźwięki ręcznej harmonijki, na której wygrywano walca. W przestronnej, ciemnej izbie, oświetlonej tylko ogniem, płonącym na piecu, tańczono, a jakaś gruba kobieta kręciła się wokół z wyrostkiem; krzyki i śmiechy towarzyszyły zabawnym podskakiwaniom chłopaka; nie mieliśmy ochoty tu wstępować.

— Widzi pan — rzekł mój przyjaciel — to już nie stary Rzym. Przed dwudziestu laty ujrzelibyśmy *saltarello*<sup>17</sup>. Dzisiaj konduktor tramwaju konnego huczy na swej trąbce. Pójdźmy na drugą stronę. Tam ciszej; zapewne znajdziemy kąt, gdzie co najwyżej szum Tybru<sup>18</sup> przypomina, że „wszystko płynie”.

\*

Było jeszcze jasno, powietrze srebrzyste i prócz Wener<sup>19</sup> żadna gwiazda nie pojawiła się na niebie. Widzieliśmy delikatne linie Monte Mario<sup>20</sup> i pinie willi Mellini<sup>21</sup> ponad murami, okrążającymi gościniec; dziwne: nagle ustąpiło moje zmęczenie. Najchętniej byłbym powędrował aż do Ponte Molle<sup>22</sup>, gdzie miałem ulubiony kącik w skromnej gospodzie. Gdy jednak powiedziałem o tym memu towarzyszkowi, potrząsnął głową i zatrzymał się nagle u wejścia do ogrodu pewnej szynkowni.

<sup>11</sup>*brukotłuk* (daw.) — osoba włócząca się bez celu po ulicach. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*osteria* — karczma, oberża, zajazd, gospoda, gościniec. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*Porta del Popolo* a. *Porta Flaminia* — historyczna brama miejska w Rzymie. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*flamiński gościniec* — Via Flaminia, droga rzymska, prowadząca z Rzymu do Ariminum (Rimini). [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*szynkownia* a. *szynk* (daw.) — karczma, zajazd, oberża. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*ongi* (daw.) — kiedyś. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*saltarello* (wł.) — żywy taniec z podskokami. [przypis redakcyjny]

<sup>18</sup>*Tyber* — rzeka w środkowej części Włoch. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*Wenera* a. *Wenus* (mit. rzym.) — w mitologii rzymskiej bogini miłości, tu: planeta Wenus. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*Monte Mario* — jedno z rzymskich wzgórz. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*willi Mellini* — piętnastowieczna willa rzymska. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*Ponte Molle* a. *Ponte Milvio* — jeden z najstarszych mostów rzymskich. [przypis edytorski]

— To było tu! — powiedział. — Tu przed dwudziestu pięciu laty wypilem pierwszą szklankę rzymskiego wina. Zdawało mi się, że nie odnajdę tego miejsca. Ząb czasu wygryzł tylko głowy herbowym zwierzętom na filarach, podtrzymujących bramę. A wewnątrz... patrz pan, ocieniona drożyna, wiodąca ku rzece... i *loggia*<sup>23</sup>... i mały wodotrystk przed nią... Może znajdziemy nawet poczciwego Domenicuccia, który wówczas był młodym szynkarzem i młodym żonkosiem. Ach, nie, ludzie kruszeją łatwiej niż martwe głązy. Rudy drab, który samotnej parce tam stawia na stół flaszkę wina, należy do nowej generacji.

Wstąpiliśmy i zasiedli na ławce, stojącej nieco wyżej, tak iż między domem a pozbanionym jeszcze liści żywopłotem mogliśmy dojrzeć w oddali kopułę Św. Piotra<sup>24</sup> niby fioletoziny dzwon. Powietrze stawało się coraz przejrzystsze; dokoła nas zapadała coraz głębsza cisza. Tylko poniżej nad Tybrem chłopięcy głos śpiewał namiętą pieśń, a nietoperze latały tak blisko nas, iż zdawało się, że słyszeć można szum ich skrzydeł.

Rudy gospodarz przyniósł nam wina. Cicho uderzyły o siebie kieliszki.

— Za wspomnienie naszej młodości! — powiedział mój przyjaciel. — Ma ona tak lekki sen, iż wystarczy cicho stuknąć, a budzi się. Niech pan wybaczy, jeśli wydam się panu nieco sentymentalny. Lecz taki dzień wspomnień... i znów na tym samym miejscu... a był to właśnie taki sam wieczór... Czy słyszy pan, jak dziwnie brzmi ten głos dziecięcy tam z oddali? Wcale nie miękko i słodko. Naturalnie, jest to bowiem przesąd, że miłość jest najśłodszym ze wszystkiego, co przeżywa biedny śmiertelnik. A jeśli zaznajemy wreszcie czegoś słodkiego — jakże gorzki zwykle bywa posmak!

Wychylił kielich jednym haustem, jakby chciał ten posmak splukać.

— Wino jest cierpkie — rzekł. — Sprawia, że staję się znowu twardym mężczyzną. Poprzednio, gdy mnie pan spotkał pośrodku korsa, czy nie uważał mnie pan za człowieka na poły zwariowanego? Musiałem zebrać wszystkie siły, by nie zdradzić przeklętego drżenia, które opanowało każdy mój nerw. Takie osłabienie pochodzi jeszcze z owych czasów. To, co mnie wówczas spotkało, rozluźniło jakiś punkt w moich, poza tym solidnych, fundamentach. Gdy mnie teraz coś wewnątrz przejmie, chwije się cała budowla.

Nie wiem, czy kto inny byłby się prędzej od tego uwolnił. A może wstrząsnęło to tak moim życiem, bo wówczas dopiero co ozdrowiałem. A zresztą nie była to zwykła *perniciosa*<sup>25</sup>, na którą my, ludzie z Północy, tak ciężko zapadamy. Klimat znosiłem wcale dobrze. Spędziłem w Pompejach<sup>26</sup> trzy miesiące w nędznej izdebce, kiepsko się odżywiając, a pracując bez przerwy. Kilka pięknych tygodni jesieni chciałem spędzić w Neapolu i nad wybrzeżem, zanim się miałem udać do Rzymu. Lecz nie mogłem się wyrwać z tej zaspanej dziury. Po głowie snuły mi się przeróżne pomysły, które zaspokajać mogłem *con amore*<sup>27</sup> w tych upiornych rumowiskach, czyniłem pomiary, rysowałem szkice, robiłem zestawienia, i to od świtu po chwilę, w których ostatni promień słońca gasł nad Wezuwiuszem<sup>28</sup>. Tak żyłem bez opamiętania przez całą zimę, jakby oczarowany.

Byłbym prawdopodobnie prześnił tak i całe lato; Rzym przestał mnie nęcić, wydawał mi się zbyt młody; lecz moja sakiewka<sup>29</sup> przemówiła mi wreszcie do rozsądku. Miałem jeszcze tyle tylko, by zapłacić *vetturina*<sup>30</sup>, który mnie w bardzo mieszanym towarzystwie odwiózł do Rzymu — księża i aktorki; różnie się działo w wozie, a podźwięki z jego wnętrza brzmiały nie zawsze bardzo pobożnie. Siedziałem jednak na koźle obok woźnicy i nie troszczyłem się zbyt o to, co się działo za moimi plecami. Smutek rozstania z ukochanym miastem umarłych rozwiął wkrótce wspaniały krajobraz, który wówczas trzeba było przez pełne trzy dni podziwiać, by się dostać do Rzymu.

Wreszcie... pewnego niezapomnianego popołudnia... wjechaliśmy do Rzymu przez

Miłość niespełniona,  
Melancholia, Młodość,  
Tęsknota, Wspomnienia

Miasto, Praca, Podróż

Miasto, Dzieciństwo,  
Wspomnienia, Szczęście

<sup>23</sup>*loggia* (wł.) — portyk albo galeria, otwarta z jednej lub kilku stron. [przypis redakcyjny]

<sup>24</sup>Św. Piotr a. Bazylika Świątego Piotra na Watykanie — rzymskokatolicka bazylika na Wzgórzu Watykańskim. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*perniciosa* (wł.) — febra malaryczna. [przypis redakcyjny]

<sup>26</sup>Pompeje — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Neapol, niedaleko ruin starożytnych Pompejów (stanowisko archeologiczne). [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*con amore* (wł.) — z upodobaniem. [przypis redakcyjny]

<sup>28</sup>Wezuwiusz — wulkan na terenie Włoch, na Półwyspie Apenińskim, nad Zatoką Neapolitańską. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>sakiewka (daw.) — woreczek na pieniądze. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*vetturino* (wł.) — woźnica. [przypis redakcyjny]

Porta San Giovanni<sup>31</sup>. Jakie uczucia mną władaly, drogi przyjacielu, gdy kopyta koni dudniły po bruku wiecznego miasta — tego chyba panu nie potrzebuję opisywać. Wszystkie te nazwiska, które wymieniał woźnica, wieże, pałace, na które wskazywał biczyskiem, znałem przecież z mych studiów, a jednak wszystko wydało mi się bajkowe, nieznanne dotychczas. Jak gdyby się ktoś zakochał w kobiecie, mając tylko miniaturowy jej portret i listy — a wreszcie ujrzał ją i usłyszał jej głos. Byłem tak przepojony radością i ciekawością, iż wcale nie obejrzałem pokoju, gdy wóz zatrzymał się przed skromnym, trzeciorzędnym zajazdem. Powierzyłem spiesznie kelnerowi swe niewielkie zawiniątko i pospieszyłem przede wszystkim przejść się po forum, by niejako wziąć w posiadanie to poświęcone miejsce.

Powędrowałem ku Kapitolowi<sup>32</sup>, a następnie wijącą się drogą w dół i spoglądałem na zwaliska kolumn, pałace cesarskie i Koloseum<sup>33</sup> z taką rozkoszą, jakiej zaznałem tylko raz w życiu jako młody chłopak. Wówczas w południe przed wieczorem wigilijnym zajrzałem przez dziurkę od klucza do pokoju z choinką, co, oczywista, było surowo zakazane. Stało tam już drzewko, a pod nim leżały podarunki dla mnie. Gdy się stamtąd oddalałem, biło mi serce. Lękałem się, że naprawdę ziści się to, czym mi matka groziła: oto wieczorem wszystko zniknie... Lecz gdy wieczorem wszystko zastałem, i to w jeszcze piękniejszym stanie, niż mi się w południe wydawało, wykrzyknąłem głośno ze szczęścia.

Oczywista, nie krzychałem, gdy po raz pierwszy ujrzałem cudowną muszlę Koloseum, która wówczas miała bardziej uroczyisty wygląd, gdyż wtedy jeszcze archeologowie, niemający respektu dla tajemnic malarskich, nie zabrali się do fundamentów budowli. Siedziałem przeszło godzinę u stóp krucyfiksu i pławiłem się w niewypowiedzianej rozkoszy.

Wreszcie zauważyłem, że święto to krzywdzi część cielesną mego „ja”. Od śniadania nie miałem nic w ustach, nasz woźnica nie godził się na dłuższe popasy i pocieszał, że w Rzymie zjemy dobry obiad. Zapadał już mrok; postanowiłem więc wrócić do domu, a po drodze wstąpić do *trattorii*<sup>34</sup>. Gdy przechodziłem jedną z ulic, które prowadzą do Forum<sup>35</sup>, ujrzałem na drzwiach jakiegoś domu kartkę: „Umieblowany gabinet do wynajęcia”. Na trzecim piętrze. Tym lepiej. Z góry ściele się widok na to czarowne pole ruin.

Poszedłem więc na trzecie piętro i stwierdziłem, że wszystko tu piękniejsze ponad oczekiwanie. Wprawdzie pokój był ciasny, wyposażony tylko w najkonieczniejsze umeblowanie — lecz jakaż cudna panorama, gdy się wychyliło głowę przez okno! Nie należało się więc dłużej zastanawiać, bogowie okazali mi swą łaskę, a to tym bardziej, iż bez większych kosztów mogłem się dostać do tego rajskiego schroniska; czynsz bowiem nie był o wiele wyższy niż w Pompejach, a gospodyni, akuszerka<sup>36</sup> z zawodu, żądała tylko zapłaty za tydzień z góry.

Zawstydyłem się, gdy sięgnąwszy do kieszeni, wydobylem tylko jednego talara<sup>37</sup>. Widząc moje zakłopotanie, kobieta okazała gotowość zrzeczenia się przedpłaty. Lecz, by sobie zapewnić kwaterę, zostawiłem jej zegarek jako zastaw i oświadczyłem, że jeszcze dziś wieczorem przyślę swój kuferek i zamieszkać w izdebce, gdyż koniecznie chciałem już następnego ranka ujrzeć u swych stóp pałace cesarskie. Pospiesznie zeskakiwałem ze schodów, jak gdyby poczciwa pani Rubicondi była piękną dziewczyną, która właśnie przyjęła me oświadczenia.

Teraz najważniejszą rzeczą było odszukać bankiera, u którego miałem podjąć resztę mych pieniędzy. Znałem jego adres, Via delle Vite<sup>38</sup>, jakiś tam numer domu, wiedziałem, że jest to jedna z bocznych ulic korsa. Trudno jednak było odcyfrować nazwy ulic wobec coraz bardziej gęstniejącego mroku. Przystąpił do mnie chłopak o dość podejrzany wyglądzie, acz uprzejmym zachowaniu się; zapytał, czego szukam. Wziąłem go za kuplera<sup>39</sup>; w Neapolu wciąż się im musiałem opędząć; odprawiłem go więc w krótkich słowach. Gdy

Pieniądz

<sup>31</sup>*Porta San Giovanni* — historyczna brama rzymska. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*Kapitol* — historyczne wzgórze rzymskie. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*Koloseum* — właśc. amfiteatr Flawiuszów, starożytny amfiteatr w Rzymie. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*trattoria* (wł.) — gospoda. [przypis redakcyjny]

<sup>35</sup>*Forum* — Forum Romanum, najstarszy plac miejski w Rzymie. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*akuszerka* (daw.) — położna. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*talar* — moneta srebrna, używana w Europie od końca XV wieku. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*Via delle Vite* — historyczna ulica rzymska. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*kupler* (daw.) — stręczyciel. [przypis edytorski]

jednak znowu bezradnie przystanąłem na pobliskim rogu ulicy, powtórzył skromnie swe pytanie; wreszcie mu powiedziałem, dokąd zmierzam. Szedł przede mną, a po stu krokach skierował się na Via delle Vite, po czym z czapką w ręku przystanął przed domem, którego szukałem. Nie mogłem go odprawić bez wynagrodzenia, aczkolwiek cały talar byłby książęcy darem za tę małą przysługę. Lecz zdobyłem wszakże Rzym! Uśmiechnąłem się więc, widząc jego zdumienie wobec tak niespodziewanego zarobku, i wszedłem do domu bankiera. Przybyłem tuż przed zamknięciem banku i podjąłem skromną sumkę, która miała mi wystarczyć do końca pobytu w Rzymie. Miałem jednak małe wymagania i umiałem swój płaszcz żebraczy układać w najzdobniejsze fałdy. Więc, wielce zadowolony, schowałem banknoty do szkicownika, ten zaś do kieszeni mego płaszcza i opuściłem dom bankierski.

Uderzyło mnie, że znowu pod domem zastałem chłopaka. Przypisywałem to jego wdzięczności, postanowiłem jednak pozbyć się go, gdyż nie podobała mi się jego usłużna, a zarazem lisia mina; powiedziałem mu więc, że go więcej nie potrzebuję, gdyż sam trafię do domu. Na to uklonił się uniżenie i zniknął.

Teraz należało znaleźć *trattorię*, gdyż w zajeździe, w którym znajdował się mój kuferek, nie mogłem się spodziewać kolacji. Kroczyłem więc wzdłuż korsa, oglądając się na prawo i lewo, lecz rzęsiście oświetlone lokale, do których przez okna zaglądałem, wydały mi się zbyt luksusowe. Powietrze było cudowne, niebo błękitniało nad obeliskami na Piazza del Popolo. Więc szedłem dalej i wreszcie znalazłem to, czego szukałem: w tej samej oberży, w której teraz siedzimy, dobre jedzenie i doskonałe wino, o wiele ognistsze niż podejrzana lura, napełniająca dziś nasze szklanki.

Ogród był ożywiony, światła migotały zza krzewów i żywopłotu, piękne oczy rzymskie iskrzyły się. Młoda para, gospodarująca w oberży, biegała pracowicie tam i z powrotem i siliła się zadowolić swych gości; a ponad tym cudnym życiem unosiła się tak jak i teraz ciemna głowa Świętego Piotra, promieniując swą magiczną wzniosłością.

Popadłem jak zwykle w nastrój marzycielski, w którym zgodnie się mieszały: pobożne nastroje mej młodości na plebanii i pogańska żądza życia mych późniejszych lat. Nie zauważyłem też, że ogród stawał się coraz cichszy, pustszy, ciemniejszy, aż wreszcie ostatni goście powstali i odeszli. Wówczas wezwałem gospodarza, zapłaciłem skromną kwotę za posiłek i wino i opuściłem ogród, by przecież spędzić noc w mej oberży.

Gdy wyszedłem na ulicę, zauważyłem naprzeciwko pod szarym murem ciemny cień, znieruchomiały jak sztyldwach<sup>40</sup>. Gdy się skierowałem w prawo, w stronę bramy, poruszył się również i cień i szedł krok w krok za mną. Gdy się zatrzymywałem i spoglądałem w tył, i on momentalnie przystawał. Lecz spotykałem kilku spóźnionych przechodniów, a w ręku miałem laskę, którą już raz musiałem się obronić podczas samotnej wędrówki do Camaldoli<sup>41</sup>.

Dotarłem wreszcie do bramy i uczułem się zupełnie bezpieczny. Pogoda się zmieniła, gwiazdy na niebie stały się niewidoczne, nadciągało *scirocco*<sup>42</sup>. Przeszedłem przez zupełnie pusty plac i zatrzymałem się przy obelisku, by długo spoglądać ku Pincio<sup>43</sup>, w którego drzewach począł szumieć wiatr. Miałem ochotę tam się udać, lecz przecież zdecydowałem się na powrót do oberży.

Nagle... właśnie dostałem się na korso... słyszę kroki za sobą, szybkie a ciche, jakby ktoś biegł w pończochach. I zanim zdołałem się obejrzeć, ktoś mnie napada z tyłu, otaczają mnie dwa ramiona, przygniatając mi piersi jakby żelaznymi obcęgi, jedna ręka szarpie mój płaszcz, dopada kieszeni i wyrywa szkicownik — potem pchnięcie naprzód, tak że biegnę kilka kroków i — zbój znika z mych oczu w ciemnościach korsa. Zaledwie dwie sekundy trwał napad. Szybko otrząsnąłem się z przerażenia, z włoskim zakłębieniem na ustach podniosłem w górę laskę i pobiegłem za łotrem.

Moje pocziwe, długie nogi nie sprawiły mi zawodu. Obok San Giovanni<sup>44</sup> dopadłem opryszka. Moja laska przejechała mu się po plecach, tak że mu czapka z głowy spadła. Był

Miasto

Walka, Przemoc, Złodziej

<sup>40</sup>sztyldwach (daw.) — żołnierz na warcie. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>Camaldoli — Via Camaldoli, historyczna ulica rzymska. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>scirocco (wł.) — suchy, gorący wiatr wschodni i południowy. [przypis redakcyjny]

<sup>43</sup>Pincio — historyczne wzgórze rzymskie. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>San Giovanni — prawdopodobnie Bazylika św. Jana na Lateranie, katedra biskupa Rzymu. [przypis edytorski]

to ów usłużny chłopak, który mnie zaprowadził na Via delle Vite i widocznie zmiarkował, jakiego to rodzaju interes skierowuje mnie do domu bankiera. *Birbante!*<sup>45</sup> — zawołałem i potrząsałem nim z całej siły. Lecz on z kocią zwinnością, paraliżującą moje ruchy, chwycił mnie popod<sup>46</sup> ramionami i otoczył mnie swoimi, pierś o pierś, chichocząc przy tym ochryple. Mocowaliśmy się przez chwilę, zaś ja na próżno siliłem się zrobić użytek z laski, jedynej broni, jaką posiadałem. Krzyczałem, ile tylko głosu dobyć mogłem z uciskanej piersi: „Pomocy! Zbójcy! Mordercy!” — lecz znikąd echa, ulica jak wymarła. Wtedy wepchnął mnie na stopnie jakichś schodów. Potoczyliśmy się, silnie do siebie przywarci, przy czym ja znalazłem się na wierzchu. Nic mi to nie pomogło. Po chwili uczułem silne pchnięcie w lewą łopatkę, unieruchamiające moje lewe ramię. Musiałem puścić łotra, który błyskawicznie się spode mnie wywinął i z głośnym śmiechem znikł za najbliższym zakrętem drogi.

Wtedy dopiero zauważyłem, że sytuacja przedstawia się wcale poważnie. Mogłem się jeszcze podnieść i domacać laski, która leżała obok na bruku. Gdy jednak dotknąłem łopatki, uczułem coś twardego, tkwiącego w ciele, i ciepłą wilgoć, rozchodzącą się po koszuli. Byłem zbyt słaby, by wyciągnąć nóż z rany, zaczynałem tracić przytomność. Jak we śnie powlokłem się kilkadziesiąt kroków, od czasu do czasu głucho wołając o pomoc. Wreszcie straciłem przytomność i runąłem przed jakimś domem.

\*

Proszę wybaczyć, że nudzę pana szczegółami tej tak bardzo zwykłej zbójckiej historii. Gdy bowiem o tym teraz myślę, uprzytomniam sobie wszystko, jak by się to wczoraj stało. Mam wrażenie, jak bym znowu czuł zapach chłopca, woń wina i sera — nosy mają, jak wiadomo, dobrą pamięć — od nowa budzi się we mnie poczucie złości, lęku i wstrętu, które odczuwałem podczas walki. Zdaję sobie też sprawę, jak rozkosznie było popaść w omdlenie i że w tej chwili snuła mi się po głowie tylko jedna myśl: jaka szkoda, że moje pompejańskie badania nie ujrzą światła dnia...

Co się potem ze mną stało, dowiedziałem się o wiele później. Obudziłem się tylko na jedną chwilę, gdy nóż wyciągano z mej łopatki, widziałem szereg obcych postaci wokół mnie i słyszałem głucho głosy jak daleki poszum morza. Potem znowu noc zasnęła moją świadomością.

Dziwne to było, gdy obudziłem się wczesnym rankiem, pokrzepiony nieco głębkim snem. Leżałem na szerokim łóżku, którego firanki były odchylone i odczuwałem nie tyle ból w zranionej łopatce, ile raczej ucisk w nogach, którego przyczyny zrazu nie mogłem odgadnąć. Gdy nieco uporządkowałem myśli, ujrzałem ku największemu zdumieniu obok mego łóżka kobietę, siedzącą na krześle. Właściwie górna część jej ciała była pochylona nad łóżkiem, tak iż głowa spoczywała na moich nogach. Nie poruszała się i miała oczy zamknięte. Mogłem ją spokojnie obserwować; nawet w nędznym stanie, w jakim się znajdowałem, uświadomiłem sobie wielkie piękno jej głowy. Twarz o czystych rzymskich rysach, profil jak na kamei<sup>47</sup>, prosty nos, o greckiej czystości konturu. Czoła nie mogłem dojrzeć, gdyż pokrywały je rozpuszczone czarne włosy, widziałem szeroki, piękny policzek i wąskie usta, niezbyt czerwone, obecnie we śnie uśmiechające się figlarnie. Nie wolno mi też zapominać o uchu, którego zgrabnie uformowana muszla wyglądała spośród włosów. Postać była otulona szkarłatnym szlafrokiem, przepasanym czarnym sznurem, przetykanym złotymi nićmi. Nie wydawała się zbyt wysoka, o ile można było dostrzec przy świetle lampki, stojącej na krześle obok łóżka. Powoli podnosiła się silna pierś, a nozdrza lekko drżały. Musiało być niedawno po świcie, przez dwa na poły przesłonięte okna padał szary blask w wielką izbę; nie było słyhać głosu ani w domu, ani na ulicy.

Trwało to pewien czas, zanim sobie uświadomiłem, że nie śnię. Staralem się nie wykonać ani jednego ruchu, by nie zbudzić śpiącej, której nie mogłem się dość napatrzeć. Nagle w pobliskim kościele poczęły gwałtownie dzwonić dzwony i w tej chwili postać u mych nóg otwarła oczy, spostrzegła mój utkwiony w siebie wzrok i podniosła się. Mój

<sup>45</sup>*Birbante!* (wł.) — Łotrze! [przypis redakcyjny]

<sup>46</sup>*popod* (daw.) — pod. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*kamea* — ozdoba kamienna z wypukłą rzeźbą jaśniejszą od tła. [przypis edytorski]

skolatany jeszcze mózg silił się, by znaleźć słowo, w którym należałoby się zwrócić do cudnego zjawiska. Lecz jeszcze zanim je znalazłem, położyła palec na usta, które mi się teraz wydały poważne i energiczne, po czym podeszła do stolika, ma którym ujrzałem wielką misę i różne flaszki i chustki.

Zanurzyła wielki okład w misie i, podszedłszy ku mnie, zmieniła okład z lodem. Wiele dałbym, gdybym mógł dotknąć jej ręki i przycisnąć do ust. Lecz ruch, którym próbowałem to uczynić, wywołał taki ból, że opadłem z powrotem na poduszki i tylko zdołałem wyszeptać: *Grazie!*<sup>48</sup> — po czym znowu straciłem przytomność.

W ciągu dnia odzyskałem przytomność tylko na kwadrans, gdy zmieniano mi opatrunek. Widziałem małego człowieka o krótkich siwych włosach, czarnych mądrych oczach i wielkim nosie, krzątającego się koło mnie; obok stała piękna kobieta i trzymała lampę, tak iż mogłem do syta przypatrywać się jej wspaniałej twarzy; jakaś skromnie ubrana starucha stała przy stole i podawała opatrunki; nie mówiono ani słowa, a gdy otworzyłem usta, by skierować zapytanie do mego miłosiernego samarytanina, usłyszałem energiczny głos siwego człowieka: *Zitto! Zitto!*<sup>49</sup>

Zmiana opatrunku tak mnie wyczerpała, że wkrótce znowu zamknąłem oczy, mimo że pragnąłem patrzeć w piękną twarz naprzeciw mnie. Czulem, że wlano mi w usta coś pokrzepiającego; poczuła mnie przenikać chęć do życia, budziła się we mnie nadzieja; poprzedniej nocy śniło mi się wciąż, że jestem w zaświatach, a obok mnie znajduje się niebiańska opiekunka, która przede wszystkim ma zmyć ze mnie wszystko, co przyziemne.

Tę noc przespałem bez przebudzenia się. Gdy gwar dnia mnie obudził, była w pokoju starucha, której twarz, nie wiem dlaczego, wydała mi się odrażająca. Leżałem niezbyt długo, gdy otwarły się drzwi i do pokoju weszła nowa istota ludzka.

Dziecko, mała cztero- czy pięcioletnia dziewczynka, ubrana jak laleczka w brunatny aksamit, sukienka okolona wąskim paseczkiem futrzanym, kapelusik o ostrym kształcie, niemal frygijska czapeczka<sup>50</sup> na gęstych, czarnych włosach, opadających swobodnie na ramiona. Małe stworzenie to skoczyło na piętach na środek pokoju, zatrzymało się i spoglądało z ciekawością na obcego człowieka, leżącego w jasny dzień w łóżku. Skinąłem głową i poruszyłem ręką, by ku mnie podeszła. Lecz dziecko widocznie bało się staruchy. Dopiero gdy ta wyszła, dziewczynka zdobyła się na odwagę i powoli zbliżyła się do łóżka; podniosła się na palcach i spoglądała w moją twarz, jakby na rzeźbę lub coś martwego. Zachowywałem się też zupełnie cicho i rozkoszowałem się lubą figurynką i uroczą małą twarzyczką. Była ona podobna do pięknej kobiety, tak jak miniatura do popiersia marmurowego. Miała ostro zarysowane brwi, dumne usta, czoło ocienione włosami. Matka miała jednak ciemne oczy, a dziecko szafirowe.

— Jak się nazywasz? — zapytałem wreszcie cicho.

— Bicetta.

— A mama?

— *Mamma*<sup>51</sup>.

— Czy mnie lubisz, Bicetto?

Skinęła główką.

— Widzisz — powiedziałem — jestem chory; chętnie bawiłbym się z tobą, a gdybyśmy się pięknie bawili, musiałabyś mi dać na podziękowanie całuska.

Dziecko wdrapało się natychmiast na łóżko, ujęło mnie obiema rączkami za szyję i przycisnęło swą małą, miękką buzię do mego policzka.

W tej chwili otwarły się drzwi i piękna pani weszła do pokoju. Widziałem, że chciała ofuknąć<sup>52</sup> dziewczynkę, widząc mnie tak obłączonym. Lecz zaśmiała się tylko.

— Co za pomysł, Bicetto! Daj panu spokój! Chodź, wychodzimy.

— O *signora*<sup>53</sup> — powiedziałem — proszę, niech dziecko zostanie, *é tanto carina*<sup>54</sup>, a ja... jak pani widzi... jestem już prawie uleczony. Proszę mi tylko powiedzieć...

<sup>48</sup>*Grazie!* (wł.) — Dzięki! [przypis redakcyjny]

<sup>49</sup>*Zitto! Zitto!* (wł.) — Milcz! Milcz! [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*frygijska czapeczka* — stożkowate nakrycie głowy, welnianie lub filcowe. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*mamma* (wł.) — mamusia. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*ofuknąć* — odezwać się do kogoś niemiło, strofująco. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*signora* (wł.) — pani. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*é tanto carina* (wł.) — jest tak urocza. [przypis redakcyjny]



Przystąpiła wspaniałym, królewskim krokiem, jaki się widzi u tragicznych bohaterok na scenie, do mego łóżka i zabrała dziecko.

— Cicho — powiedziała poważnym tonem. — Panu nie wolno mówić, lekarz najsurowiej zakazał. Ten mały dzikus pana zamęczy. Wychodzę na godzinę. Matka tymczasem będzie czuwała, by pan żadnych głupstw nie robił. Bądź pan rozsądny i wykonuj wszystko, co lekarz przepisał. W przeciwnym bowiem razie...

Uczyniła groźny gest, a po chwili uśmiechnęła się po przyjacielsku i skinęła na pożegnanie ręką, tkwiącą w wytwornej rękawiczce. Nosiła ciemną jedwabną suknię, uwydatniającą dobrze jej pełną postać, na sukni aksamitny płaszcz z futrzanym obszyciem, kapelusz z czarnym piórem. O ile się na tym rozumiałem, toaleta jej była wyszukanej elegancji. Ujęła dziecko za rękę i znikła w bocznych drzwiach.

Strój

\*

Przez pewien czas byłem sam i po raz pierwszy rozejrzałem się w czterech ścianach pokoju. Widocznie pani domu odstąpiła mi własną sypialnię; łóżko było osłonięte czerwonymi jedwabnymi firankami, a poduszki przyozdobione koronkami. Wielki brązowy świecznik zwisał z sufitu, a po grubych, na poły wypalonych świecach woskowych można było poznać, że tkwią tu nie tylko dla ozdoby. Nad kominkiem lustro w szerokich złożonych ramach, sięgające pod sufit, na czarnym marmurowym gzymsie wielki zegar, którego podstawa wyobrażała Wenerę, unoszoną w emaliowanej muszli przez trzech Trytonów<sup>55</sup>; obok wieloramienne złożone kandelabry<sup>56</sup>, najpiękniejszej paryskiej roboty. Stolik rokoko w środku pokoju, obecnie zakryty misą z lodem i środkami leczniczymi, stał zapewne zwykle przed czerwoną aksamitną otomaną<sup>57</sup>, gdyż gięte i złożone nogi zgadzały się z rzeźbą otomany. Poza tym żadnych mebli nie było widać, ani kwiatów, ani obrazów z wyjątkiem jednego portretu nad sofą, wyobrażającego kardynała o mądrej, regularnej twarzy, jedną z tych postaci kapłańskich *cinquecenta*<sup>58</sup>, do których pasował raczej pancierz i hełm niż czerwony kapelusz i ornat<sup>59</sup>. Musiałem wciąż spoglądać w niemal groźnie we mnie utkwione oczy obrazu, które mi przypominały oczy mej miłosiernej nieznanym. Zdawało mi się, że również i w ustach znajduję podobieństwo, oczywista, tylko w tych momentach, gdy piękna pani rozkazująco je ściągała. Byłem jednak zbyt jeszcze osłabiony, by się nad tym zastanawiać.

Portret

Jedno tylko mnie uderzyło: czyż możliwe, by wstrętna starucha, która usługiwała mi podczas jej nieobecności, była matką tej wspaniałej kobiety?

Starość

Właśnie weszła, by dołożyć lodu do okładu; mogłem twarz jej oglądać po raz pierwszy z bliska i stwierdzić, że ma ona również piętno rzymskiego pochodzenia. Wydała mi się w swej suchości i zwietrzałości tak okropnie wiedźmowa, iż wkrótce zamknąłem oczy i w milczeniu, bez słowa podziękii, zezwalałem, by twarde, brutalne ręce zajmowały się pielęgowaniem mnie.

Podawała mi filiżankę rosolu, również nie mówiąc ani słowa, miała jednak tak wrogą minę, jakby mnie chciała uraczyć pucharem trucizny. Lecz pokrzepiwszy się rosolem, zasnąłem spokojnie i obudziłem się, gdy wieczorem mały lekarz dotknął mej rany. Człowiek ten, o świdrujących oczach i sarkastycznym grymasie dokoła ust, napawał mnie zaufaniem. Był bardzo szybki i pewny w swych manipulacjach i mimo pewnej szorstkości tak delikatny dla chorego jak mamka dla niemowlęcia.

Lekarz

— Brawo! — mruknął. — Sądzę, że pan się przecież wyłabuda<sup>60</sup> z biedy. Wczoraj lękałem się jeszcze, czy też płuca nie są zranione. Ale na szczęście nie! A teraz spokój — posłuszeństwo — żadnych irytacji — żadnych głupstw — a za trzy tygodnie...

Trzy tygodnie!... Spojrzałem na mą piękną pielęgniarkę, która znowu w swym czerwonym szlafroku, z włosami zebranymi w potężny węzeł, stanęła spokojnie obok lekarza.

<sup>55</sup>Tryton (mit. gr.) — bóstwo morskie o tułowiu człowieka i rybim ogonie. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>kandelabr — duży świecznik. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>otomana — niska kanapa z miękkim oparciem. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>cinquecento (wł.) — XVI wiek, sztuka włoska XVI wieku. [przypis redakcyjny]

<sup>59</sup>ornat (rel.) — szata, używana przez księdza w czasie mszy. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>wyłabudać się (daw.) — wydostać się, wyzwolić się. [przypis edytorski]

— Ależ to wieczność! Proszę mnie kazać odstawić do szpitala, jeśli nie jest wskazane umieścić mnie w hotelu... trzy tygodnie... jakżebym mógł jeszcze tak długo tej szlachetnej damie...

Mały doktor spojrzął na piękną panią i powiedział:

— Zostanie pan tu. W szpitalu zmarniałby pan tylko, wiem, jak się tam obchodzą z mięsem ludzkim. Co się tyczy *signory*, to wie ona, co czyni. Jeżeli pana z ulicy zabrała, to nie zechce przecież rzucić pana znowu na ulicę. Basta! Szczęśliwie płuc! Dobranoc!

Zsunął czapkę na czoło, zarzucił płaszcz na ramiona i wybiegł.

Poświeciła mu na schody, a kiedy wróciła, postawiła lampę na stole i podeszła do mego łóżka:

— Wybij sobie pan z głowy wszelkie kaprysy — powiedziała swym głębokim, a przecież miękkim głosem. — Bóg sam pana złożył pod drzwiami domu, a ja byłabym pozbawiona pobożności i respektu dla woli bożej, gdybym panu pozwoliła odejść, zanim pan będzie zupełnie uleczony. Przedwczoraj w nocy leżałam tam, gdzie pan teraz spoczywa, nie mogłam spać, słyszałam, jak wszystkie zegary wydzwaniały godziny i jak w sercu mym pulsowała krew, jak gdybym miała pod piersią wahadło. Nie wiem, co mi było; znienawidziłam nagle życie, znudziło mi się i myślałam: jeśli to tak dalej pójdzie latami całymi... wreszcie będziesz siwa i stara jak matka... uh! Raczej od razu do klasztoru, gdzie nudy są policzone jako dobry uczynek! Wreszcie... gdy mi było coraz duszniej, gdy zauważyłam, że na dworze poczyna wiać *scirocco*, wyskoczyłam z łóżka i chciałam otworzyć okno, by wpuścić nieco świeżego powietrza. Wtem słyszę na dole wołanie o pomoc, jęki i niesamowite szmery; otwieram szybko okno, wychylam się, jak tylko mogę, i widzę na stopniach pod progiem ciemną masę; kilkakrotnie wołam, kto leży — nie otrzymuję odpowiedzi. Pomyślałam: zapewne masz wyświadczyć przysługę ludzkiej istocie i dlatego nie mogłaś spać, a życie ci się uprzykrzyło. Wpadłam do pokoju, w którym śpi matka. Zeszła ze mną na dół; obudziliśmy krawca Girolamo, który jest zarazem dozorcą domu — i gdyśmy otworzyli bramę, a pańskie ciało, oparte o drzwi, zważyło się w dom — Matko Boża! — jak się przestraszyłam, widząc pana w wielkiej kałuży krwi! Poznałam od razu, że pan jest obcokrajowcem, nie znalazłam jednak ani wizytówki, ani paszportu, by odstawić pana do własnego mieszkania. Girolamo radził, by odnieść pana do San Giovanni<sup>61</sup>, do szpitala. Ale niedobrze się o tym szpitalu wyrażają, a zresztą... żał mi było pana, jak byś był bratem lub starym znajomym. Powiedziałam: Fuj, Girolamo, do San Giovanni, gdzie dopiero przed tygodniem *don*<sup>62</sup> Giuseppe zmarł na febrę? Raczej pozostawiłabym go tu we krwi, powiedziałam i rozkazałam pana przenieść do naszego mieszkania. A policja? — zapytał Girolamo. A jeśli jutro odnajdą ślady krwi i zapytają, co nas obchodzi Anglik, żeśmy go ukryli w domu? A może to jest zły człowiek, którego zupełnie słusznie tu napadli i rozprawili się z nim? Tymczasem podniosłam głowę pana do góry. Patrzcie, powiedziałam, czy tak wygląda złoczyńca? — a miał pan wtedy tak niewinny wyraz twarzy jak dziecię u piersi matki. Wstydzcie się, Girolamo! Zróbcie, jak każe. Gdyby plotkowano, pošlijcie plotkarzy do mnie, a policja — tej się boję tyle...

Matka pociągnęła mnie za rękaw. Jesteś szalona, Gemmo, powiedziała. Czy chcesz się nabawić kłopotu z jakimś umierającym człowiekiem? A gdzie go złożymy? Nie mamy zbywającego łóżka. — O, powiedziałam, oddam chętnie własne łóżko. Nie mogłam spać i głos z nieba obudził mnie wśród nocy. A jeśli wy macie kamienne serca, nie potrzebuję was wcale; jestem dość silna i sama go zaniosę. Po tych słowach ujęłam pana pod ramiona, a że byłam oburzona ich małodusznością, miałam więcej siły niż zwykle. Lecz oboje przyskoczyli i we trójkę dźwignęliśmy pana i powoli wnieśli ma schody, bo doprawdy nie jest pan lekki jak piórko... (przy czym głośno się zaśmiała, a ja zawtórowałam również śmiechem). Był pan nieprzytomny i jęczał wciąż, gdyż przeklęty nóż tkwił jeszcze w łopatce. Potem Girolamo pobiegł szybko do doktora Susiny i otrzymał pan opatrunek, potem matka przyniosła lód z San Giovanni, a krawiec jeszcze w nocy wyszorował schody i bruk gorącą wodą i posypał piaskiem plamy krwi, które nie chciały zniknąć. Tak sobie pana zdobyłam i zanim pan jak ptak nie potrafi zlecieć ze schodów, po których

<sup>61</sup>*San Giovanni* — historyczny szpital rzymski. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*don* — tytuł grzesznościowy, używany we Włoszech. [przypis edytorski]

przywlekliśmy pana jakby kamiennego bożka, nie wydam pana. A teraz proszę spać, zbyt długo gawędziliśmy.

Skinęła mi uprzejmie głową i chciała odejść. Chwyciłem ją jednak za rękaw i trzymałem mocno.

— Pani Gemmo — powiedziałem — jest pani aniołem. Gdybym krew, którą owej nocy straciłem, był przelał dla pani, nie żałowałbym tego. Obiecuję we wszystkim być posłuszny i tak długo być ciężarem, aż mi pani sama nie wskaże drzwi. Ale, błagam, proszę o jakiś kącik, gdzie przeskadzałbym mniej niż tu. Gdy bowiem pomyślę, że to łóżko... a gdzież pani układa się do snu?

— To moja rzecz! — powiedziała i uśmiechnęła się lekko. Na razie nie potrzebuję łóżka. Utrzymujemy na przemian straż w nocy, matka i ja. Czy wyglądam tak, jakbym zmizerniała, opiekując się panem?

Stała przede mną, promieniejąc pięknem i młodością. Chwyciłem jej rękę i drżąc przycisnąłem do niej moje wargi. Lekko uderzyła mnie po policzku i wcisnęła z powrotem w poduszkę.

Zostałem sam.

Wszystko to wyczerpało mnie; sen jednak nie przychodził. Po raz pierwszy zastanawiałem się nad moją sytuacją. Zrabowane pieniądze były całym moim majątkiem, nie mogłem spodziewać się w najbliższych miesiącach żadnych innych funduszy; mój ojciec musiał pracować dla sześciu córek; było bardzo wątpliwe, czy ministerstwo zbytnio się wzruszy zbójceją historią. Oczywiście, dopóki korzystałem z gościnności tej wspaniałej damy, nie potrzebowałem się o nic troszczyć. Ciężko mi jednak, że mam przyjmować wszystkie te dobrodziejstwa jakby żebrak uliczny. Robiła wrażenie bardzo bogatej; widziałem na jej palcach pierścienie, których by się nie powstydziała żadna księżna. Służby atoli nie było widać. Tylko rankami przychodziła obca osoba, jak się potem dowiedziałem, żona krawca, która sprzątała mieszkanie, zaś mąż jej wychodził co dzień na targ, by zaopatrzyć kuchnię w żywność. Ale z czego żyli? Czy był tu mąż, czy też opuścił ten padół i tę piękną kobietę? W tym wypadku nie mogłem przecież bezinteresownie przyjmować wszystkich ofiar i kosztów, jakiełożono, i bez wyrazu podziękii opuścić tego domu. Lecz brakło mi pieniędzy, nawet by dla Bicetty kupić lalkę. Przeżywałem formalnie mękę, gdy wyczuwałem jedwab koldry, pod którą spoczywałem.

Miałem wprawdzie w Rzymie przyjaciela, lecz był to taki sam biedak jak ja. Kolega szkolny i syn sąsiada, przedwcześnie dojrzały chłopak o genialnych porywach, o którym już od dwóch lat nic nie słyszałem; wiedziałem tylko, że dostał się do Rzymu w jakiś niezwykły sposób. Jak się tu przez dwa lata zdołał utrzymać? O obrazach, które by malował i sprzedawał, nigdy nie słyszałem; doniosłem mu z Pompei o swym przybyciu i otrzymałem od niego kartkę, na której było wypisane jedno, ale serdeczne, słowo: „Witam!”.

Pojmie pan, iż nie byłem takim optymistą, by to źdźbło uważać za belkę. Był to zresztą jedyny stały punkt w mych rozważaniach, gdyż poza tym wszystko rozplywało się we mgle.

Troski te pogorszyły mój stan zdrowia. Następnego dnia opadła mnie znów gorączka; byłem zupełnie nieprzytomny. Rzadko tylko w mych fantastycznych przywidzeniach gorzały piękne czarne oczy, które się nade mną pochylały, gdy mi prześcielano łóżko lub podawano nieco posiłku. Nie cierpiałem wówczas zbytnio; przeciwnie, zdawało mi się, że nigdy w życiu nie było mi lepiej niż wtedy, gdy czułem rękę mej pielęgniarki na czole, kiedy zgarniała poplątane włosy lub obejmowała mnie za szyję, by mnie unieść i podać mi łyżkę lekarstwa.

Rana goiła się bardzo dobrze. Moja zdrowa krew miała silne pierwiastki żywotne. Siódmego dnia byłem znów zupełnie przytomny, a mały lekarz, zdejmując bandaż, zawołał: *Bravo, figlio mio! Ma bravo davvero!*<sup>63</sup> Nie zapomnę nigdy uszczęśliwionej miny pani Gemmy, gdy tu usłyszała — miała wyraz dumy, tak jakby chwalono jej własne dzieło, a przy tym malowało się na jej twarzy takie wzruszenie, że miałem ochotę rzucić się jej na szyję lub paść do kolan. Wciąż jednak nakazywano mi największą ostrożność. Następnego dnia pozwolono mi spędzić jedną godzinę poza łóżkiem; moja pielęgniarka zaprowadziła mnie jakby w triumfie ku otomanie, zaś mała Bicetta ujęła moją rękę i swym słodkim głosem zadawała mnóstwo dziecinnych pytań.

<sup>63</sup>*Bravo, figlio mio! Ma bravo davvero!* (wł.) — Zuch z ciebie, mój synu, prawdziwy zuch! [przypis redakcyjny]

Siedziałem więc pod portretem czerwonego kardynała i rozglądałem się po pokoju, jak bym go po raz pierwszy widział. Owładnęło mnie takie osłabienie, iż zacząłem płakać. Opanowałem się szybko, gdy poczułem ramionka dziecka, które, wdrapawszy się na otomanę, mocno się do mnie przytuliło. Przycisnąłem dziecko do piersi i całowałem je. Nie śmiałem spojrzeć w stronę matki, stojącej tuż obok. Lękałem się własnej słabości. Ona jednak uśmiechnęła się, skrzyczała dziecko i zabrała je ze sobą, by jej towarzyszyło w codziennej przechadzce. — Panu należy się spokój — powiedziała.

Spokoju jednakże nie zaznałem. Ledwie zostałem sam, podszedłem ku oknu, by patrzeć na piękną parę; matka z córką, wyszedłszy z domu, przeszły na stronę słoneczną i tam zatrzymały się na chwilę, by spojrzeć ku mojemu oknu. Zdaje się, że pani przeczuła, iż nie pozostaną na otomanie. Skarciła mnie wzrokiem, zaś dziecko rzuciło rączką całusa. Potem poszły korsem w stronę Piazza Colonna<sup>64</sup>.

Widziałem, że przechodnie zatrzymywali się i oglądali za nimi. Kilku młodych stałych bywalców korsa ukloniło się; Gemma odpowiadała lekkim skinieniem głowy. Z okien wychylały się nieuczestne głowy kobiece i ręce, uzbrojone w lornetki, zapewne, by przyglądać się jej toalecie. Obserwowałem to nie bez pewnej satysfakcji, jak gdyby podziwiano coś należącego do mnie. Wkrótce jednak straciłem z oczu Gemmę z dzieckiem. Odszedłem od okna w nagłym poczuciu zawstydzenia i zakłopotania. Jeśliby mnie z dołu lub z naprzeciwka dojrano!... Skądże ja tu się wziąłem, w mieszkaniu tej królewskiej kobiety? Co o tym pomyślą ci, którzy na ulicy łakną choćby przelotnego jej spojrzenia? Była z pewnością wdową. Tym bardziej nie wolno mi było jej kompromitować.

Kolana się podę mną uginały, gdy wlokłem się z powrotem ku otomanie; nie mogłem się jednak oprzeć pokusie zajrzenia do następnego pokoju. Miał on wygląd jadalni, w której od miesięcy nie nakrywano do stołu. Żywe, złożone tapety, niebieskie firanki, mały kredens, z pozostawionymi w nieładzie naczyniami, ściany bez obrazów, na kominiku wielki, pokryty kurzem, bukiet sztucznych kwiatów w połamanej, niezgrabnej, posklejanej wazie alabastrowej. Obok stała opleciona słomianką butelka wina, na talerzu resztki śniadania — typowy nieład włoskiego gospodarstwa. Po prawej stronie były drzwi. Ośmieliłem się otworzyć je i ujrzałem wielką, pozbawioną okna izbę, otrzymującą nagle światło z oszklonych drzwi, prowadzących na korytarz. Wiało tu pustką i zaniedbaniem jak za kulisami małej sceny, wyobrażającej książęcy salon. Musiałem się dopiero przyzwyczaić do panującego tu półmroku, by rozróżnić pod ścianą wielkie niezacielone łóżko, pośrodku izby okrągły stół bez obrusa, dokoła którego stało parę starych wyplatanych krzeseł. Kilka szaf, nędzna umywalnia, w kącie mały obrazek święty, nad którym płonęła czerwona lampka — oto wszystko.

Posmutniałem nagle, nie zdając sobie sprawy, dlaczego. Widziałem wiele włoskich domów i wiedziałem, że nieraz najwspanialsze kobiety, które w pięknych powozach ukazują najnowsze paryskie toalety, w domu zadowolają się otoczeniem mniej niż skromnym. Co kraj, to obyczaj. Na Południu żyje się na ulicy i dla ulicy. Dlaczegoż więc miałem za złe swej wielkodusznej wybawicielce i miłościwej siostrze, że nie miała talentów gospodyni?

Od matki, której strój zdradzał kompletne zaniedbanie, nie mogła zaprawdę odziedziczyć zmysłu porządku domowego. Widziałem przez oszklone okno, jak starucha krzątała się przy kuchni. Wszystko, co z tego pieca pochodziło, zdawało się podejrzanym. Czarny kocur włóczył się za staruchą, a w mej, trawionej jeszcze gorączką, wyobraźni rozdziły się przeróżne myśli. Wróciłem do mego pokoju, wyciągnąłem się na otomanie i zacząłem marzyć.

Po pewnym czasie wróciła moja pielęgniarka; jedno jej spojrzenie, jedno słowo z jej ust wystarczyło, by unicestwić niesmak, jakiego doznałem podczas oględzin mieszkania. Sprawiał to nie tylko cud jej piękności, jak pan zapewne sądzi; więcej jeszcze działał urok niemal dziecięcej niewinności, dobroci i miłosierdzia, które objawiała nie tylko wobec mnie. Przez cały dzień niemal była w ruchu kołatka u drzwi i słychać było skamlące, drżące głosy żebraków, które po pewnym czasie nie robią wrażenia nawet na ludziach o miękkim sercu. Starucha, gdy tylko mogła, odpędzała natrętów cierpkimi słowami. Córcie jednak nie wolno było tego słyszeć, gdyż wówczas dawała w dwójnasób. Tylko na

Matka, Córka

Dom, Gospodyni, Brud

Dobro, Żebrak

<sup>64</sup>Piazza Colonna — historyczny plac rzymski. [przypis edytorski]

ulicy, ilekroć z okna za nią patrzyłem, nie zatrzymywała się przy żebrakach. I to mi się też u niej podobało.

Czyż było coś, co by mi się nie podobało? Nawet jej oczywiste błędy. Chyba tylko to, że czasem za najmniejsze wykroczenie lajała dziecko gwałtownie, a nawet biła, by jednak po chwili je wycalować i obdarować wszystkim, czego tylko mała zażądała. Klęczała wówczas godzinami z małą istotką na kamiennej podłodze, zwykle przed piecem w drugim pokoju, gdzie był kącik dla lalek, i miała tyle inwencji w urządzaniu zabaw dla dziecka, że nie przestawało ono chichotać i śmiać się. Nagle podnosiła się, twarz jej stawała się poważna, młoda kobieta jak gdyby nosiła się z jakimiś poważnymi zamiarami; kilka razy przechadzała się wzdłuż i w szereg po pokoju i stawała wreszcie przed lustrem, by przymierzyć nową mantylkę<sup>65</sup> lub jakąś ozdóbkę do włosów, przy czym wcale ją to nie obchodziło, że stałem w progu i pożerałem ją wzrokiem.

Wkrótce nabrałem przekonania, że nie ma najmniejszego pojęcia o tym, co zwiemy wykształceniem. Od biedy umiała czytać i pisać, jednak nigdy nie widziałem, by czytała lub pisała. Ani jednej książki nie było w mieszkaniu; na stole stały wprawdzie przybory do pisania z perłowej masy, bogato złożone, ale kałamarz był czysty, nigdy w nim widocznie nie było kropli atramentu. A jednak, mimo iż żadnych robót nie wykonywała, zaś starucha troszczyła się o suknie i bieliznę zarówno jej, jak i Bicetty, nigdy nie odczuwała nudów. Gdyż ów nocny napad bezprzedmiotowego zniechęcenia, o którym mi opowiadała i który zwała *noia*<sup>66</sup>, pochodził raczej z serca niż z głowy. Odkąd nie potrzebowałem więcej stałej opieki, spędzała dni jak przed tą nocą, w której dostałem się do jej domu. Godzinami całymi, zwłaszcza w popołudnia, gdy ulicą przeciągały długie szeregi powozów, siedziała koło okna lub wychylała się zeń, owinąwszy czarne włosy w chusteczkę, i przyjmowała holdy przechodniów, nie zdradzając żadnym ruchem ni miną, czy jej na tym cokolwiek zależy, by *senatus populusque Romanus*<sup>67</sup> uważał ją za najpiękniejszą kobietę w obrębie siedmiu wzgórz. Gdy się ściemniało, zapalała trójramienną lampę stojącą na stole przed otomaną, a ponadto woskowe świece w kandelabrze na kominku i krążyła po obu pokojach tam i z powrotem, czasem rzucając ponure spojrzenie w lustro, jakby poprzez własny obraz coś dostrzegała lub szukała. O szóstej siadała do obiadu. Widocznie tylko dla mnie zdecydowała się jeść w salonie, a nie w ciemnej izbie. Sama jadła niewiele, nie piła nigdy wina, żywiła się głównie jarzynami i pomarańczami. Dziecko przekarmiano pieczywem; starucha nie tknęła nigdy pokarmu w pokoju; sądząc po wrogich spojrzeniach, jakimi mnie obrzucała, można by myśleć, że moja obecność pozbawia ją chęci jedzenia; ja zaś nie miałem pewności, czy też do podanych mi potraw nie wsączono kilka kropel trucizny.

Gdy kończyliśmy obiad, siadałem w mym kąciku na otomanie, a Bicetta oblegała mnie i zmuszała, bym prawą ręką — lewa była unieruchomiona — rysował jej przeróżne rzeczy. Pani Gemma przypatrywała się uważnie. Staralem się dać im pojęcie, jak wygląda moja ojczyzna i jak się tam żyje. Musiałem im narysować mój dom rodzicielski, którego ostrokanciasty dach wydawał im się wielce osobliwy. Potem mówiłem im o ojcu, matce i sześciu moich siostrach, i ich imionach, które z trudnością tylko umiały wymawiać, jak też zresztą i moje imię Eryk zmieniły na Arrigo. Dziecko było niewyczerpane w stawianiu pytań, które często były przemyślnie i zabawne. W małej główce tliła się widocznie iskierka, którą trzeba by nieco rozdmuchać, by kiedyś rozwinęła się w piękny płomień. Lecz prymitywny umysł jej matki wcale się w tym kierunku nie wysiłał. Była ona jak cząstka przyrody, w swym ograniczeniu przepyszna i pełna uroku. Gdyż... zapewne pan wyśmiejże przesadę zakochanego, lecz to było tak doprawdy: i ja nie czułem, będąc z nią godzinami sam, ani chwili nudów, mimo iż już po krótkim czasie przestałem wysiłać się na utrzymywanie czegoś w rodzaju konwersacji. Miałem wrażenie, jak gdybym w zatoce Neapolu siedział naprzeciw morza lub w jednym z rzymskich pałaców, gdzie poprzez cyprysy i drzewa figowe wzrok sunie w niezmierną dal, i można tak przeżyć godziny i dni, bez innych pragnień, w pełni szczęśliwości.

Oczywista: bez innych pragnień — to nie jest odpowiednie słowo, gdy chodzi o moje uczucia wobec tej pięknej kobiety. Byłem niemal od pierwszej chwili beznadziejnie w niej zakochany, władała mną z każdym dniem coraz silniej, tak iż nie mogłem sobie wyobrazić,

<sup>65</sup>*mantylka* (daw.) — koronkowy szal lub krótka pelerynka. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*noia* (wł.) — nuda, udręka. [przypis redakcyjny]

<sup>67</sup>*senatus populusque Romanus* (łac.) — senat i lud rzymski. [przypis redakcyjny]

Matka, Dziecko

Dom, Rodzina, Ojczyzna

Miłość

jak bym się bez niej mógł obejść; na myśl o tym zimny pot występował mi na czoło, a serce poczynało tłuc, jak by chciało się wyrwać z wnętrza piersi.

Szaloną tę namiętność wzmagalo jeszcze jej zrównowazenie i spokój. Z jej postępowania nie można było wcale poznać, czy robiłaby różnicę między zranionym młodzieńcem a chorą kurą, którą przypadkowo wzięłaby w opiekę. Nigdy ruch kokieteryjny, nigdy wzrok wyzywający. Troszczyła się o mnie niemal z macierzyńską sumiennością, jakbym był drogocennym naczyniem, które po rozbiciu z trudem skleiono, a teraz trzeba obchodzić się z nim z podwójną ostrożnością. Gdy mi rozkrawała potrawę na talerzu, mieszała chłodzący napój, przepisany przez lekarza, lub rano dowiadywała się, czy spokojnie przespałem noc — zawsze była tak miła i dobra, ale też i tak zrównowazenie chłodna, iż brała mnie chętnie w podziękę złożyć me serce u jej stóp, a równocześnie mógłbym wyskoczyć ze skóry z rozpaczy i męki.

Nie miałem jeszcze wówczas poważniejszych doświadczeń z kobietami. Pięknym chłopcem nigdy nie byłem, moja koścista twarz i jasne włosy, a przy tym niezbyt wytworne manieri, nie mogły się stać niebezpieczne dla kobiety, która zapewne do woli wybierała wśród *jeunesse dorée*<sup>68</sup>. Zaś w podziękę za jej niezwykłą dobroć rozpocząć z nią romans, grać rolę usychającego z miłosnego żaru pasterza — na to byłem zbyt dumny i mimo zakochania zbyt rozsądny. Toteż przysiągłem, sobie, że nie przekroczę granicy wdzięcznej przyjaźni. Ba, starałem się nawet być nieuprzejmy i kapryśny, byle tylko nie popaść w śmieszne podejrzenie, że chcę ją pozyskać uprzejmością.

Lecz ani mój dobry, ani zły humor nie zdołały zmienić jej zachowania się. O ile wobec swego dziecka była gwałtowna i niepohamowana, o tyle z anielską cierpliwością znosiła wszystko, czym ją niekiedy chciałem wystawić na próbę; oczywiście to mnie tym bardziej jakąś magiczną siłą do niej przyciągało.

\*

W takim oczarowaniu przeżyłem trzy tygodnie. *Lucida intervalla*<sup>69</sup>, w których poznawalem całe swe nieszczęście, stawały się coraz dłuższe, im bardziej zbliżała się chwila, kiedy miałem wrócić do rzeczywistego życia. Gdy mi po raz pierwszy wolno było na godzinę uwolnić lewe ramię z przepaski, byłem pełen rozpaczy, podczas gdy ona z najrozkoszniejszym wyrazem radości na twarzy składała mi gratulacje. Po co mi dwa zdrowe ramiona, jeśli im nigdy nie wolno będzie objąć tej, która była ziszczeniem mych snów o szczęściu?

Dzień ten — a było to pod koniec trzeciego tygodnia — przysporzył jeszcze moc innych zmartwień.

Właśnie spożyliśmy nasz skromny obiad; siedziałem na otomanie, dziecko spało obok mnie, złożywszy główkę na moim kolanie. Pani Gemma stała w oknie i spoglądała ku chmurom. Był to duszny dzień kwietniowy. Wtem wchodzi starucha z listem i podaje go szybko córce. Czeka na odpowiedź... Nie zdradzając ciekawości, której to kobiecej cechy w ogóle nie posiadała, otworzyła kopertę i rzuciła okiem na trzy gęsto piśmem wypełnione stronicie. — Znowu ten natrętny człowiek! — powiedziała. Podała mi list i rzekła: — Spójrz pan, jacy głupcy są na świecie!

Począłem czytać i stwierdziłem zaraz po kilku wierszach, że list napisał człowiek, który — jak się tu mawia — leżał ze mną w tym samym szpitalu. Było to namiętne wyznanie miłosne, skargi na nieprzystępność, oziębłość, zlekceważenie najwierniejszych zabiegów. Wznawiał swe prośby, które jej już wielokrotnie powtarzał; siebie samego i wszystko, co posiadał, kładł do jej stóp, zapraszał, by wobec zbliżającej się cieplej pory roku zamieszkała w willi, którą dokładnie opisywał, i by się tam czuła panią całej posiadłości. Będzie ją tylko wtedy odwiedzał, gdy mu wyraźnie na to pozwoli. Jedno słowo zgody uszczęśliwi go... Wszystko to było napisane przesadnym, teatralnym stylem, poprzez który jednak przeziierało prawdziwe uczucie.

List był podpisany nazwiskiem jednego ze znanych rzymskich rodów, którego bogactwo jest przysłowiowe.

<sup>68</sup>*jeunesse dorée* (fr.) — złota młodzież. [przypis redakcyjny]

<sup>69</sup>*lucidum intervallum* (łac.) — jasny przeblysk, okres chwilowej poprawy stanu pacjenta po urazie mózgu. [przypis redakcyjny]

Popatrzyłem na Gemmę, kładąc list na stół. W jej twarzy nie można było dojrzeć żadnej zmiany.

— Daj mi kawałek papieru! — rzekła do staruchy. Wciąż mrucząc i coś do siebie samej mówiąc, stara przyniosła jej małe eleganckie pudełko z papierem listowym, które robiło wrażenie, jakby wcale dotychczas nie było używane. Gemma spokojnie wzięła kartkę papieru, potem leżący na stole ołówek, napisała, stojąc, dwa słowa i podała mi kartkę.

— Było na niej: *No! Mai!*<sup>70</sup> — a pod tym wielkie G.

Uśmiechnęła się, gdy w milczeniu zwracałem jej kartkę. — Nieprawdaż, umiem pisać piękne listy! — powiedziała. Potem włożyła list do koperty, napisała wielkimi, nieco niewprawnymi literami pełny adres hrabiego i wyszła, by wręczyć pismo posłańcowi.

Starucha poszła za nią. Wkrótce potem usłyszałem jej ochryply głos; potokiem wyzwick dawała ujście swej wściekłości, którą przy mnie musiała z trudem hamować. Nie wiele z tego rozumiałem; kobiety były w trzecim pokoju, słyszałem jednak, że stara wciąż sama gada. Córka tylko rzadko się odzywała.

Nareszcie wzburzona starucha zdawała się uspokajać. Przebrzmiały ostatnie przenikliwe, dyszące, chrapliwe dźwięki. Pani Gemma wróciła w swej zwykłej spokojnej postawie, tylko policzki jej płonęły.

— Miała pani zmartwienie? — ośmieliłem się zapytać. — Krótki list pani nie podobał się matce?

— Biedna stara! — powiedziała na poły litościwie, na poły lekceważąco. — Różnymi się poglądami.

Dziecko obudziło się i pobiegło do matki, która je wzięła w ramiona i mocno uściśnęła. Potem nagle opuściła je z powrotem na podłogę, podeszła do okna i otworzyła je.

— Jak gorąco! — rzekła odgarniając włosy z czoła. — Będzie burza.

— Proszę wziąć wachlarz, tam... — powiedziałem.

— Jaki wachlarz?

Zaraz pierwszego dnia spostrzegłem na gzymsie kominka wąską ozdobną szkatułkę, spoczywającą między dwoma świecznikami; zdawało mi się, że szkatułka kryje wachlarz. Wstałem, by go jej podać. Gdy się ku niej zwróciłem, usłyszałem nagle głośny śmiech. Wszystkie ślady irytacji zniknęły; była wielkim dzieckiem, któremu każdy żart sprawia olbrzymią radość.

— Tak, tak! — zawołała — ten wachlarz chłodzi, ale w zbyt wielkim stopniu. Otwórz pan pudełko, *signor*<sup>71</sup> Arrigo, a przyzna mi pan rację.

Zdumiony, otworzyłem i zamiast wachlarza ujrzałem wąski nóż długości dłoni, z krótką, grubą rączką; ostrze było nie szersze niż mały palec, a jaśniało na nim kilka rdzawych plam.

— Czy pan nie poznaje tego noża? — zawołała, wciąż się śmiejąc, a zęby jej błyskały w świeżych, czerwonych ustach. — Zdaje mi się, że pan dobrze się zaznajomił z tym wachlarzem; wiesz przecież, jaką jest niebezpieczną zabawką. Połóż pan ten nóż z powrotem do pudełka; zimno mi się robi, gdy sobie przypominam, jak biedna krew pańska jakby mała fontanna trysnęła, gdy doktor Susina wyciągnął ten nóż z łopatki pana. Przecho- wuję go, bo tam na kominku najmniej może komu szkodzić. Proszę, niech mi go pan usunie z oczu.

— Gemmo! — wyjąkałem — jestem mu wdzięczny, gdyż bez jego pośrednictwa nigdy nie byłbym pani poznał. Zaprawdę, nóż ten powinien był lepiej spełnić swą powinność. O jeden cal głębiej, a byłbym pozbył się mąk, które mnie teraz...

Nie mogłem na szczęście dokończyć, byłbym na pewno powiedział wiele głupstw. Wszedł lekarz, zbadał puls, nałożył lekki bandaż, który wciąż jeszcze musiałem nosić, i oświadczył, że jeśli noc minie spokojnie, będzie mi jutro wolno odbyć pierwszą przejażdżkę. Nie mogłem zdobyć się na to, by mu okazać rozradowaną minę, czego się zapewne spodziewał. Również i Gemma była zamyślona. Gdy lekarz się oddalił, włożyła

Kłótnia

Wiara

<sup>70</sup>*No! Mai!* (wł.) — Nie! Nigdy! [przypis redakcyjny]

<sup>71</sup>*signor* (wł.) — pan. [przypis edytorski]

kapelusik na głowę, ubrała Bicettę i wyszła do San Carlo<sup>72</sup>, gdzie miało się odbyć jakieś uroczyste nabożeństwo.

Szła prawie codziennie do jednego z kościołów, zawsze w towarzystwie dziecka. Lecz jej pobożność nie była bigoterią; było to na poły przyzwyczajenie, na poły dziecięce uczucie upodobania w świecie ponadmysłowym, niewytłumaczalnym. Jeszcze chętniej, przyznała mi się, szła do teatru. Już od szeregu tygodni nie była w teatrze. Z kimże miałabym pójść? — powiedziała. Nie śmiałem zapytać, z kim przedtem chodziła. Mąż jej umarł pewnie już dawno, gdyż nie nosiła żałoby. Chętnie byłbym wybadał doktora, lecz nigdy nie pozostawałem z nim sam na sam.

\*

Tu przerwał i siedział przez chwilę bez ruchu naprzeciw mnie, z głową pochyloną na piersi. Ściemniło się tymczasem, tak że mimo bliskości nie mogłem dokładnie rozróżnić rysów jego twarzy. Gospodarz podszedł do naszego stołu i zapytał, czy sobie czego życzymy i czy ma przynieść światło. Odpowiedziałem, że nam niczego nie potrzeba. Nawet to *intermezzo*<sup>73</sup> nie zdołało wyrwać mego przyjaciela z głębokiego zamyślenia. Dopiero gdy nas doleciał pogłos dalekich dzwonów — dźwięki pogrzebowe, jak się wkrótce przekonałem — przyszedł znowu do siebie. I on też zmiarkował, co te dźwięki znaczą.

— Wybacz pan — rzekł. — Wydaję się panu zapewne dziwny, opowiadając tak wyczerpująco tę starą, smutną historię. Proszę jeszcze o odrobinę cierpliwości, zbliżam się do końca opowieści. Aby pojąć, jak się to wszystko skończyło, musi pan być wtajemniczony we wszystkie te pozornie nieważne szczegóły, przy czym również nie jest obojętny ówczesny stan mej biednej duszy... Ale pan nic nie pije... Proszę nalać... ja... widzi pan... to śmieszne... moja ręka drży, jak gdyby mnie wczoraj spotkały wszystkie te ciosy. Chcę winem dodać sobie kurażu<sup>74</sup>, by opowiedzieć do końca.

Wychylił od razu szklanę, którą napelnilem.

— Gdzieśmy się zatrzymali? — powiedział. — Prawda, przy mojej pierwszej przejażdżce. Co za rozkoszny był to dzień, drogi przyjacielu! Pogoda była boska, jaka być tylko może w Rzymie w dzień wiosenny po nocnej burzy; władało mną uczucie ozdrowienia, uczucie czyniące człowieka przystępnym dla wszystkiego, co dobre; u boku miałem ukochaną kobietę w uroczym stroju, która mnie powoli sprowadzała po schodach i łajała, gdy się niezbyt silnie na niej opierałem; przede mną biegło rozkoszne dziecko; we wszystkich drzwiach pojawiali się ludzie i przypatrywali, jak *signor* Arrigo po raz pierwszy udaje się na przejażdżkę. Zmartwiło mnie tylko, gdy krawiec pomagał mi wsiąść do powozu, że z kieszeni nie mogłem wyjąć garści złota i po książęcemu wynagrodzić jego wierności i trudu. Poczciwy ten człowiek, zdaje się, wcale nie spodziewał się tego. Poufale skinął za nami ręką, gdy ruszył z miejsca wygodny powóz, w którym na szerokich poduszkach zasiadłem z Gemmą, mając ma ławce naprzeciw Bicettę z największą i najładniejszą jej lalką.

Wywieraliśmy widocznie wrażenie na najbliższym otoczeniu, na korsie ludzie przystawali i oglądali się za nami. Gemma powiedziała woźnicy, by skierował się w ulicę koło San Giovanni. Pojechaliśmy wzdłuż Ripetty<sup>75</sup>, do mostu, obok Castel Sant'Angelo<sup>76</sup>, do Świętego Piotra. Jeśli pan zważy, że widziałem to wszystko po raz pierwszy i w jakim towarzystwie się znajdowałem, pojmie pan mój bajeczny nastrój. Nie mówiliśmy wiele ze sobą. Moja ręka spoczywała obok jej dłoni, a w zachwycie nad wspaniałością otoczenia kilka razy ośmieliłem się tę drogą dłoń ująć i ucisnąć. Twarz jej pozostawała niezmienna. Dla niej przecież cudna sceneria nie była obca; w ogóle nie miała żadnego zrozumienia dla sztuki, a tym mniej dla wspomnień historycznych. Tylko gdy jej przy Zamku Anioła

Wino

Miasto, Historia

<sup>72</sup>*San Carlo* — historyczny kościół San Carlo alle Quattro Fontane (św. Karola przy Czterech Fontannach) w Rzymie. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*intermezzo* (wł.) — komiczna wstawka, wykonywana w antraktach opery włoskiej; tu: niespodziewany przerywnik. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*kuraż* (daw.) — odwaga. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*Ripetta* — Via di Ripetta, historyczna ulica rzymska. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*Castel Sant'Angelo* — Zamek Świętego Anioła a. Mauzoleum Hadriana; grobowiec cesarza Hadriana i jego rodziny, znajdujący się w Rzymie. [przypis edytorski]



opowiadałem o Cellinim<sup>77</sup>, o tym, jak ze szczytu tej gigantycznej baszty bronił swymi armatami Rzymu, jak potem w tymże zamku jako jeniec papieski miał możliwość rozmyślać nad niewdzięcznością świata, wreszcie w jak zuchwały sposób uciekł — objawiła zainteresowanie dla tego awanturniczego człowieka i musiałem obiecać, że przeczytam jej książkę, w której to wszystko jest opisane.

Tak przybyliśmy na plac Św. Piotra<sup>78</sup>. Kazałem zatrzymać konie u wejścia między kolumnami; moje serce biło mocno, gdy ujrzałem ten cud budownictwa i ten jedyny na świecie plac. Gdybym nie był tak bardzo strzeżony, byłbym zapewne nie oparł się pokusie i szedł z powozu. Musiałem jednak tym razem zrezygnować z tego.

Wtem, gdyśmy właśnie ruszyli w stronę Porta Angelica<sup>79</sup> — Boże! Ktoś występuje spośród kolumnady, badawczym wzrokiem obejmuje nasz wóz i spostrzegłszy, kto się w nim znajduje, cofa się pośpiesznie między kolumny, jak lis, który wyściubił nos z nory... — Kurt! — zawołałem. — Kurt, to ja! — Nie ma odpowiedzi... Zjawa wyłoniła się tak szybko i z taką błyskawiczną szybkością znikła, iż zdawało mi się, jakoby uległ złudzeniu.

Musiałem towarzysze powiedzieć, kogo wzywałem. Przy tym wciąż zaprzętała mnie myśl, dlaczego ten dziwaczny człowiek tak szybko usunął mi się z oczu. Bądź co bądź, był jednak w Rzymie i dziś jeszcze mogłem go uwiadomić o swym pobycie, gdyż znałem jego adres. Nie czyniłem tego dotychczas, by w cudowny sen, w który byłem omotany, nie wnikał żaden głos z zewnątrz. Teraz jednak był wielki czas, by odwołać się do jego przyjacieli.

Wyznałem też po raz pierwszy mej przyjaciółce, w jakim położeniu się znajduję, że jestem zdany na pomoc mego posła i mego przyjaciela, i że poza tym jestem biedakiem, któremu dopiero przyszłość ma zgotować lepsze warunki bytu. Wysłuchała tego z widoczną obojętnością.

— Ach cóż! — powiedziała wreszcie. — Nie mówmy o pieniądzach! Aniołowie w niebie nie mają w kieszeni ani grosza, a są bardzo rozradawani. Spójrz pan, jak tu pięknie!

Jechaliśmy długim gościńcem między Monte Mario a Tybrem; po obu stronach rosły różnobarwne kwiaty, z ogrodów uśmiechała się cudowna wiosna, niebo miało niezmierną jasność i głębię, moje biedne serce ulatywało jak ptak, po raz pierwszy używający skrzydeł, między niebem a ziemią i wracało wciąż z powrotem do pięknej kobiety, której zawdzięczałem, że wolno mi było się tym wszystkim rozkoszować. Bicetta zapragnęła gwałtownie kwiatów. Wysiadłem z nią i zerwałem mnóstwo sasanek i fiołków. Przy tym wciąż spoglądałem ku Gemmie, która spokojnie siedziała w powozie, poważnie przed się patrząc, sama piękna jak kwiat. Potem wróciliśmy przez Ponte Molle.

Przejażdżka trwała półtorej godziny. Gdy powóz zatrzymał się przed naszym domem, uczulem się przecież wyczerpany. Jakby opity powietrzem i słońcem, szedłem po schodach, podpierany przez mą przyjaciółkę. Gdy się wreszcie dostałem do mieszkania i zostałem z nią sam — dziecko jak jaszczurka wywinęło się zwinnie i znikło w drugiej izbie — opuściły mnie siły. Zatoczyłem się i zaledwo postąpiłem parę kroków, miałem wrażenie, że padam. Podtrzymała mnie swymi silnymi ramionami i w chwili słabości i zmieszania — nie wiem, jak się to stało — moja głowa zbliżyła się do jej włosów, moje usta dotknęły jej policzków — i po chwili byłem u jej stóp.

— Wybaczania! — wyjąkałem. — Jestem jak szalony... wiosenne powietrze... szczęście, że przecież żyję... o, gdyby pani wiedziała, co w mym wnętrzu się dzieje...

Stała przede mną spokojnie i patrzyła na mnie; nie powiem, by wzrok jej był zimny i odtrącający.

— Jest pan dzieciakiem! Wiem o tym od dawna... Wszak wyznawał mi to pan dość często, jeszcze wówczas, gdy pan leżał w gorączce, a potem wzrokiem i wzdychaniami. Lecz niech pan wstanie i będzie rozsądny. Gdyby matka pana tak zastała...

— Wiedziała pani o tym — zawołałem — wiedziała i nie gniewała się? A teraz, Gemmo, teraz, gdy to pani powiadam na kolanach... czy to możliwe? Lubi mnie pani choć trochę... nie odtrąca mnie pani? Nie odpowiada mi pani okrutnym: *No! Mai!*, mimo

Spotkanie, Przyjaźń

Bieda, Pieniądz

Miasto, Wiosna, Kwiaty

Miłość

<sup>77</sup> Cellini, *Benvenuto* (1500–1571) — rzeźbiarz, złotnik, pisarz i medalier florencki. [przypis edytorski]

<sup>78</sup> plac Św. Piotra — historyczny plac, znajdujący się przed bazyliką św. Piotra w Watykanie. [przypis edytorski]

<sup>79</sup> Porta Angelica — historyczna brama rzymska. [przypis edytorski]

że jestem nędzarzem, biednym inwalidą, a nie wytwornym panem, mogącym ci skarby do stóp rzucić?

Pochyliła się ku mnie z uśmiechem.

— Arrigo — rzekła — jesteś wielkim głuptaskiem. Czy mnie nie znasz? Żyłeś tu u mnie przez trzy tygodnie i nie wiesz... Lecz wstań! I bądź cicho. To są zupełnie niepotrzebne słowa, które cię tylko męczą. Chodź! Nie wolno nam robić głupstw.

Podniosła mnie swymi silnymi ramionami.

— Gemmo! — zawołałem w zachwycie. Moje dłonie otoczyły jej ciało, już odczuwałem ciepło jej warg na moich ustach, gdy wtem otwarły się drzwi i obok nas stał lekarz.

— Brawo! — zawołał, ironicznie się uśmiechając. — Brawo, synu! Chciałem tylko zobaczyć, jak panu posłużyło świeże powietrze, i znajduję, że mnie pan więcej nie potrzebuje. Jest pan rześki jak ryba, tylko nieco rozgorączkowany. Ale na to nie ma w żadnej aptece lekarstwa.

Stałem przed nim w wielkim zakłopotaniu. Gemma nie straciła ani na chwilę równowagi.

— Proszę go jeszcze nie wypuszczać ze swej opieki, doktorze — powiedziała. — Fantazjuje wciąż jeszcze i trzeba bardzo uważać, by nie robił szaleństw. Właśnie potraktował mnie jak obrazek święty i padł przede mną na kolana.

Mały doktor nie rzekł ani słowa, zacisnął wargi i zbliżył się do mnie, by mi zbadać puls. Potem coś zamruczał, dał głową znak Gemmie i wyszedł z nią do drugiego pokoju; przed wyjściem wymownym spojrzeniem ciemnych oczu wezwała mnie do zachowania spokoju.

Słyszałem ich cicho ze sobą rozmawiających; po pięciu minutach weszli z powrotem do pokoju.

— Brzydki doktor nie pozwala, by pan dłużej pozostawał pod moją opieką — rzekła uśmiechając się. — Sądzi, że pan musi znowu stanąć o własnych siłach, powietrze tu w domu nie jest dla pana zdrowe, nudy są najlepszym lekarstwem dla rekonwalescenta. Przez trzy tygodnie musi sobie pan dać radę beze mnie. Co pan na to, *signor* Arrigo?

— On nie ma tu nic do powiedzenia, musi słuchać — wtrącił mały doktor. — Chodź pan! Spakuj swe manatki i pożegnaj się. Ja sam pana wytransportuję i nie ustąpię, aż pana gdzieś dobrze umieszczę. *Poffare il mondo!*<sup>80</sup> Tego by jeszcze brakowało, bym pana za włosy wyciągał ze Styksu<sup>81</sup> po to tylko, byś pan z powrotem się w otchłań rzucił!

Musiałem ustąpić wobec przemocy. Moje zawiniątko, które w pierwszych dniach tutejszego pobytu sprowadzono z obojętym, rzucono w dość wielkim nieładzie do kufra, położono na nie moje szkicowniki i przybory malarskie — i nie upłynęło pół godziny, a wszystko było załatwione. Doktor stał obok mnie i ostro się we mnie wpatrywał. Gdy zajechała dorożka, Bicetta rzuciła mi się na szyję i dusiła mnie swymi pieściami, wciąż wołając: — Niech on nie odchodzi! Niech wkrótce wróci i maluje obrazki dla Bicetty! — Starucha pojawiła się tylko raz na chwilę, a na twarzy jej malowała się satysfakcja, że się mnie pozbywa. Gemma zachowywała się spokojnie, a gdy na pożegnanie ucałowałem jej rękę, rzekła: — Trzy tygodnie nie są wiecznością. Bądź pan zdrow, jeśli pan chce być szczęśliwy!

Nie mogłem wypowiedzieć ani słowa, przeszedłem przez drzwi jak Adam przez wrota raj, a anioł z ognistym mieczem siadł koło mnie w dorożce w postaci doktora Susiny. Poczciwy krawiec i żona jego stali u drzwiczek dorożki. Mogłem ich tylko pocieszyć, że wkrótce o mnie usłyszą.

Na górze z okna wychylała się Gemma, mając u boku dziecko, które mi posyłało całusy. Matka skinęła tylko głową. Potem dorożka odjechała.

\*

Przed wszystkim chciałem się przekonać, czy pokój na Forum, który wynająłem przed trzema tygodniami, jeszcze jest wolny. Po drodze mało ze sobą rozmawialiśmy. Nie wypadło mi wypytywać doktora o stosunki mojej przyjaciółki. Tylko raz powiedziałem: — Co za kobieta! Co za wielkoduszna istota!

<sup>80</sup>*Poffare il mondo!* (wł.) — Nigdy w świecie! [przypis redakcyjny]

<sup>81</sup>*Styks* (mit. gr.) — główna rzeka Hadesu, przez którą przeprawiały się dusze zmarłych. [przypis edytorski]

— Jest ona pewnego rodzaju aniołem w spódnicy — odpowiedział krótko. — Szkoda tylko, że jej głowa nie zawsze jest tak mocna jak serce.

Milczałem i nie pytałem o znaczenie tych słów. Byłem jak we śnie, gwar ulicy odurzał mnie, poczucie, że jestem sam w tym olbrzymim mieście, sprawiało mi ból.

Na szczęście małe mieszkanko przy Forum było wolne. Poczciwa, otyła gospodyni wyszła naprzeciw mnie z radosnym zdumieniem, była pewna, że umarłem czy też wyjechałem; co dzień nakręcała zegarek, który jej pozostawiłem jako zastaw. Wkrótce byłem zainstalowany, a mój lekarz przyboczny opuścił mnie, dawszy wprzód kilka wskazówek mej gospodyni i wzięwszy ode mnie słowo, że nie będę robił żadnych głupstw. Leżałem więc na wielkiej, twardej skórzanej kanapie i oczekiwałem posilnego rosółu, który pani Rosalia sporządzała na kuchennym piecu.

Miałem wilczy apetyt mimo wszystkich przejść duchowych i nie zostawiłem ani kropli na talerzu. Zaledwo jednak przez chwil kilka oddawałem się małej sjeście, gdy weszła gospodyni i zapowiedziała czyjeś odwiedziny.

Był to nikt inny jak Kurt, stary, poczciwy przyjaciel. Poskoczyłem ku niemu i powitałem go głośnym okrzykiem radości; był on przecież jedyną deską ratunku w mej biedzie. Zachowywał się jednak dziwnie, był małowówny, zakłopotany, mrukliwy i nie patrzył mi wcale w twarz. Podeszedł do okna, wyraził podziw dla widoku, klął na nowe wykopaliska, które szpecą Forum dla dobra kilku antykwariuszy, a gdy go zapytałem, jak mu się powodzi, rzekł:

— Jak widzisz. Nie pozbyłem się i tu czerwonego nosa, tej latarni Diogenesa<sup>82</sup>, która mi zapewne świecić będzie aż do grobu. Natomiast pozbyłem się tu czego innego: sztuki. Po kilku miesiącach pobytu w tej błogosławionej krainie doszedłem do przekonania, że mam do wyboru albo na gwoździu powiesić swoją tak zwaną sztukę, albo siebie. Jako że jestem słabym śmiertelnikiem, wybrałem oczywiście to pierwsze. W naszym stuleciu fotografii to szaleństwo chcieć zostać artystą. Muza siedzi jak pasterka gęsi na pagórku i plecie swe warkocze, czekając wciąż jeszcze, aby znowu zostać księżniczką, którą właściwie jest. Może ona jednak długo czekać, a tymczasem jeden i drugi Kurt traci cierpliwość... Każdy czas ma swe zadania. *Cinquecento* mierzyło przyrodę wedle jej piękności, nasze stulecia wedle jej jadalności i innych korzyści.

Ośmieliłem się wtrącić pytanie, czy też znalazł kawał natury, który go zaopatruje w jadło. Jestem bowiem bez wszelkich środków do życia i właśnie na niego głównie liczę...

— O! — powiedział i poglądził swą małą jasną bródkę — co się tego tyczy, bądź zupełnie spokojny. Moje starania, by przekonać świat o nonsensie zajmowania się dziś jeszcze sztuką, są intratniejszym rzemiosłem, niż gdybym zarabiał na chleb ręką Rafaela<sup>83</sup> i geniuszem Michała Anioła<sup>84</sup>. Pomagam bowiem w wysokim stopniu w krzewieniu się dyletantyzmu; dopiero gdy co trzeci człowiek będzie dyletantem, nadmiar partaczy zdławi tych kilku geniuszy, którzy jeszcze się pojawiają, i żaden dureń nie będzie więcej mówił o prawdziwej sztuce. Daję kobietom i Anglikom lekcje malowania akwarelą, za co mi doskonale płacą. Ile setek potrzebujesz?

Wszystko to powiedział ot tak sobie i ani słowem nie zapytał o moje osobiste przejścia, mimo że musiał przecież po mym wyglądzie zauważyć, jak wiele przecierpiałem. Zapytałem go też od razu, dlaczego dziś na placu Św. Piotra tak nagle zwiął, czy nie słyszał mego wołania, czy mnie doprawdy nie poznał. Wyparł się spotkania w najbezpieczniejszy sposób. Wobec tego opowiedziałem mu wszystko, co mnie spotkało w ostatnich trzech tygodniach.

Przysłuchiwał się, nie odwracając wzroku od okna. Nie zataiłem również przed nim ostatniej sceny między mną a moją przyjaciółką; zwykłem nie kryć się przed nim z niczym. Przez długi czas milczał, ja zaś opadłem znowu na kanapę i zapomniałem przez moment o nim, odtwarzając w duchu chwilę, która moją krew wprawiała w stan wrzenia.

<sup>82</sup>*Diogenes z Synopy* (413–323 p.n.e.) — grecki filozof, przedstawiciel szkoły cyników. Rzekomo chodził w dzień z zapaloną latarnią, mówiąc, że szuka człowieka; latarnia Diogenesa stała się symbolem niewiary w istnienie prawdziwego człowieka. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*Rafaël*, właśc. *Raffaello Santi lub Raffaello Sanzio* (1483–1520) — włoski malarz i architekt. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*Michał Anioł*, właśc. *Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni* (1475–1564) — włoski rzeźbiarz, malarz, poeta i architekt. [przypis edytorski]

— Ty potworze! — usłyszałem nagle. — Ty szczęśliwczu! Ty łowco gwiazd! Nawet dnia nie przeżył w Rzymie i kilkoma nędznymi kroplami krwi okupił sobie, ulubieniec bogów, to, za czym inni... Czy wiesz ty — huknął nade mną — czy wiesz, że we śnie dobrałeś się do skarbu, za którym różne zuchy latami całymi nadaremnie się ubiegały? Że zamilczę o mej skromnej osobie — czy wiesz, że kobieta, która w swej łasce raczyła się zniżyć do twej wypłowiej osoby, jest najdelikatniejszym okazem kobiecego ciała, jakie między Alpami a Sycylią<sup>85</sup> słońce oświeca, i że przypadło ci w udziale szczęście, o które na próżno silili się książęta i hrabiowie?

Chciałem mu odpowiedzieć, że sobie zupełnie dobrze zdaję sprawę, jak mało mam podstaw do takiego bajecznego szczęścia; nie dał mi jednak przyjść do słowa. Podszedł blisko, potrząsnął mną, na szczęście po zdrowej stronie, i bez przerwy zalewał mnie potokiem słów.

— Tak! — zawołał — przyznaję, że nie mój cień, tylko ja sam spotkałem was w powozie koło Świętego Piotra. Lecz myśl, że mógłbym się zbliżyć, zamienić z nią kilka słów, wytrzymać jej wzrok na sobie — ta myśl przeraziła mnie. Byłbym śmieszną figurą i do czego by to prowadziło? Siedziałeś tak szeroko rozparty, z wygodną zuchwałością jako *beatus possidens*<sup>86</sup> u jej boku, zniecierpliwienie cię w tej chwili, byłoby mi zupełnie niemożliwe grać rolę uradowanego. Co prawda, nie przypuszczałem, że tak daleko z nią zaszedłeś. Mówiąc między nami, nie mogłem pojąć, co się jej mogło spodobać w twym długim cielsku, tej pocziwej holsztyńskiej gębie i tej mizernej toalecie. Jakiś żartowniś, pomyślałem, dał mu w Neapolu list polecający do wiedźmy, a ona żartuje i oprowadza po Rzymie dziwaczne północne zwierzę. Nie miej mi tego za złe, Eryku; wiesz, jak ona się ceni. Połową twego królestwa nie zdołałbyś jej kupić. Ja sam — odkąd ją po raz pierwszy ujrzałem, jak pies się za nią włóczyłem, byle tylko przychwycić jedno z tych spojrzeń, którymi uszczęśliwia nawet najniklejsze stwory. A oto znajduję jegomościa, który nie jest ani Adoniszem<sup>87</sup>, ani Krezusem<sup>88</sup> — bogowie! Można by się wściec, gdy się pomyśli, jak kapryśną, bezmyślną ladacznicą jest Fortuna<sup>89</sup>, rozdająca na ślepo całusy i szcztuki<sup>90</sup> w nos, zarówno sprawiedliwym, jak i niesprawiedliwym.

Chwycił kapelusz i chciał wybiec: moje towarzystwo było mu widocznie niemiłe. Z trudem tylko udało mi się go powstrzymać i wepchnąć w fotel, po czym na wszystkie świętości, na naszą starą przyjaźń zaklinałem go, by się wywnętrzył i opowiedział mi wszystko, co wie.

— Jesteś niespełna rozumu — zawołał gwałtownie — jeśli chcesz o niej wiedzieć więcej, niż twe oczy widziały i twe uszy słyszały wprost od niej. Jeśli ktoś idzie w największy upał i ujrzy na drodze nadgryzioną pomarańczę, czy będzie tak głupi, by długo się rozpytywać, kto ją odrzucił? Że się zwie wiedźmą z korsa, o tym ci powie każdy dorożkarz. Gdzie się swych sztuk czarodziejskich uczyła i kto się już o tych sztukach na własnej skórze przekonał — co cię to obchodzi, ty żółtodziobie? Tak, wyznaję, mam szatańską satysfakcję, mówiąc ci, że twoja bogini jest bardzo ziemskiego pochodzenia. O ile zaś ciebie znam, dążysz do tak zwanych wyżyn. Bogobojnemu synowi pastora nie może być obojętne, czy związek jakiś jest zawarty w niebie czy w piekle. Ja zaś mógłbym przesiadywać na łonie Abrahama<sup>91</sup>, a gdybym usłyszał głos tej wiedźmy z najniższych pokładów piekła i gdyby zażądała, bym dla ochłody jej poruszał przez wieczność wachlarzem — rzuciłbym się na oślep do jej małych nóżek — nie, to złe określenie. Jej nogi nie są małe, również i jej ręce; to jest modne w naszych północnych salonach lalek. Prawdziwe córki Rzymu stąpają pewnie, a ręce ich mocno przytrzymują silnymi palcami to, co raz chwyciły. Jakże często stałem z boku, gdy wsiadała do powozu, on jej podawał ramię, a ona pięknie sklepioną stopę stawiała na stopień...

— On? Co za on?

Kobieta, Czarownica

<sup>85</sup>Sycylia — największa wyspa na Morzu Śródziemnym i zarazem włoski region. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*beatus possidens* (łac.) — szczęśliwy posiadacz. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>Adonis (mit. gr.) — w mitologii greckiej piękny młodzieniec, ulubieniec Afrodyty. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>Krezus (zm. 546 p.n.e.) — ostatni król Lidii, kraju na zachodzie Azji Mniejszej; jego imię jest synonimem bogacza. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>Fortuna (mit. rzym.) — bogini, kierująca ludzkimi losami. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>szcztęk (daw.) — prztyczek. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>Abraham (rel.) — biblijny protoplasta i patriarcha narodu izraelskiego. Łono Abrahama jest metaforą zasłużonego odpoczynku po śmierci. [przypis edytorski]

— Ach tak, ostatni, który przed tobą budził zawiść bogów i ludzi, przepiękny, nieco zwariowany, ale niezmiernie bogaty neapolitańczyk, ponadto markiz, elegant, który trochę lepiej przy niej wyglądał niż wasza wysokość. Lecz ten teraz znikł, minęło prawie osiem tygodni. Przed nim... czyż mam ci wyrecytować całą listę? Lepiej zacznę od początku.

I począł mi opowiadać, czego zresztą sam już się domyślałem, że ojcem jej był ten pyszny kardynał, którego portret widziałem w sypialni. Stosunek z jej matką rozpoczął się oczywiście dawno przed otrzymaniem kapelusza kardynalskiego. Wkrótce uprzykrzył sobie gderliwą kobietę, tym bardziej iż jej piękność rychło przekwitła; umieścił ją z dzieckiem w Civitavecchia<sup>92</sup>. Tam żyła przyzwoicie, nie wolno jej tylko było wrócić do Rzymu, a kiedy nagle umarł, pozostała zupełnie bez środków do życia. Tylko portret, który stara już przedtem zdołała zabrać, przypominał dni świetności. Córka właśnie osiągnęła szesnasty rok życia, precudnie zakwitła, była okrasą małego miasta portowego. Konsul francuski, *monsieur*<sup>93</sup> Durand, liczący już pięćdziesiątkę, ale wciąż jeszcze wielki łowca kobiet, zaczął się do niej przystawiać, lecz stara sprzeciwiała się. Córka śmiała się z niego. Przestała się śmiać, gdy nędza poczęła coraz bardziej doskwierać i gdy sprzedano ostatni złoty przedmiot, który pozostał po ojcu. Wtedy... była jeszcze na pół dzieckiem... zgodziła się, by i ją sprzedano. Pocieszała się tylko tym, że kapłan pośredniczył w tym handlu, że została *madame*<sup>94</sup> Durand i że mogła swą młodą piękność ukazywać w powozie pana konsula. Serce jej wtedy jeszcze było nieme. Kiedy poczęto plotkować, czy przed czy po katastrofie, która nagle podcięła Francuzowi grunt pod nogami — nie wiadomo. Pewnego pięknego dnia pan konsul parowcem wyjechał do Marsylii<sup>95</sup>. Rozstał się ze swą młodą żoną tylko na krótki czas. Lecz po jego wyjeździe wyszły na jaw brzydkie sprawy, podejrzanym interesy — wskutek czego nie mógł dłużej pozostać na zajmowanym stanowisku; przezorny i sprytny ten człowiek, widząc chmury, zbierające się nad swą głową, uciekł bez pożegnania przed rozpięciem się burzy.

Przez jakiś czas piękna słomiana wdówka oczekiwała jego powrotu. Gdy brak było zarówno jego, jak i wiadomości o nim, starała się pocieszyć, a nie zabrakło ludzi, którzy jej w tym ofiarowywali swe usługi. Już za jego życia — chcę powiedzieć, dopóki jej mąż był przy niej — uważała dzielnego, młodego kapitana papieskiej żandarmerii za godniejszego swej miłości niż pana Duranda. Szczęśliwiec został pewnego dnia przeniesiony do Rzymu, właśnie podczas karnawału. Gdy razu pewnego pojawił się na reducie<sup>96</sup> w teatrze Apollo<sup>97</sup>, prowadził pod ramię nieznaną nikomu tancerkę w kostiumie czarownicy, w fantastycznej sukni czarno-czerwonej, ze złotym węzłem dokoła szyi, z małymi skrzydełkami nietoperza u czerwonej czapeczki, z czarnymi włosami opadającymi swobodnie aż do bioder. Tańczyła jak demon, a śmiała się jak anioł pod półmaseczką, której nie zdejmowała przez cały wieczór. Gdy para o brzasku dnia opuszczała redutę, skradał się za nią niejeden młody człowiek, któremu czarowna wiedźma głowę zawróciła, i obserwował dom, w którym znikła.

Był to dom przy korsie, na rogu Via de'Pontefici. Następnego dnia mnóstwo gachów spośród *jeunesse dorée* spacerowało pod domem, ale wiedźma z korsa — bo tak ją od tej chwili zwano — ukazała się dopiero w godzinach popołudniowych. Że bez maski lepiej umiała wyczyniać swe sztuki czarodziejskie, to rzecz zrozumiała. Lecz prócz kapitana nikt się nie mógł pochwalić, że przekroczył próg mieszkania pani Durand.

Potem przyszło na świat dziecko, a ona zamieniła się z dzikiej wiedźmy w gospodarną, cnotliwą kobietę. Matka wkrótce przybyła za nią do Rzymu; żyli we czworo kilka miesięcy cichutko, bez zwracania na się uwagi. Wtem przyszła wiadomość, że młody pan domu został podczas wyprawy na bandytów zastrzelony, a pani Gemma po raz wtóry wdową.

Trzeba przyznać, że po ojcu swego dziecka nosiła żałobę tak zacnie, jak by tego żądać można tylko od legalnej małżonki. Ale potem! Dwudziesty rok życia... najpiękniejsza

Rodzina, Bieda, Pozycja społeczna

Przemiana, Wdowa, Żałoba

<sup>92</sup>*Civitavecchia* — gmina we Włoszech, w regionie Lacjum, w obrębie metropolii rzymskiej. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*monsieur* (fr.) — pan. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>*madame* (fr.) — pani. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*Marsylia* — miasto w południowej Francji, nad Morzem Śródziemnym. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*reduta* (daw.) — tu: bal maskowy. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*teatr Apollo* — historyczny teatr rzymski, obecnie Teatro Tordinona. [przypis edytorski]

kobieta w Rzymie... nagabywana przez setki młodych i starych lowelasów, bijących się o to, by skarby Indii rzucać jej do stóp, sama zaś biedna jak mysz kościelna — nie wiem, jak by się zachowała Penelopa<sup>98</sup> w tych warunkach. Twoja ukochana... daruj, że jej już teraz dam ten oficjalny tytuł...

— Nie — przerwałem — przestań mnie dręczyć! Jestem jeszcze niezdrów... Gdybyś wiedział, co się we mnie dzieje... strącony z mego nieba... z przeczystych lazurów w brudną szarzynę płaskiej, twardej ziemi...

— Ba, ba! — mruknął — ta twarda ziemia... Dwoje takich miękkich kobiecych ramion, których by się nie powstydziała Wenus z Milo<sup>99</sup> dla uzupełnienia swych kikutów — a zresztą, Eryku, chłopcze mój, po cóż robisz tak wstrętne grymasy, gdy cię zaproszono do stołu bogów? A nawet ze stanowiska naszej staroświeckiej moralności: czy zapomniałeś, jak ludzki był Chrystus Pan wobec Samarytanki<sup>100</sup> przy studni? „Miałaś siedmiu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twym mężem!...”<sup>101</sup>. Czy brzmi w tym moralne oburzenie? Czy nie mógł równie dobrze powiedzieć w tonie zarzutu: „Prowadziła pani, madame Durand, sposób życia, który mi uniemożliwia spotykać cię tu w publicznym miejscu i wdawać się z tobą w rozmowę?...”. Głuptasku, ta kobieta... zeskoczyłbym z wierzchołka wieży Świętego Piotra, gdybym się przedtem mógł przeobrazić w człowieka, który przez dwadzieścia cztery godziny zaznał jej łaski. Bo widzisz, kochany, mimo wolności, jakiej zażywa, nie jest ona łatwym łupem dla pierwszego lepszego, który jej może ofiarować tylko złoto i diamenty lub też pięknie ufryzowaną głowę Antinouse<sup>102</sup> o oślim mózgu. Siedmiu mężów samarytanki, czy ilu ich tam było, nie ma się co wstydzić; jest to pewnego rodzaju order *Pour le Mérite*<sup>103</sup>, jeśli można spacerować z wiedźmą z korsa. Oczywiście, środki jej nie pozwalają wynagradzać uczonego ojca Secchi<sup>104</sup> za zasługi około rozwoju astronomii. Że jednak posiada serce, nieprzeżarte plugawym egoizmem... mam wrażenie, że twe własne doświadczenie...

I tak plółt bez końca, to kpiąc, to siląc się występować jako bezinteresowny przyjaciel. Wreszcie przestałem słuchać go, siedziałem odurzony przy oknie i widziałem ostatni promień słońca, znikający z dachów Koloseum; najchętniej byłbym się pogрузił w wiecznej nocy, gdyż lękałem się nowego dnia i konieczności powzięcia jakiejś decyzji.

Wszystko to, co mi powiedział, nie zdołało przytłumić mej namiętności. Byłem również daleki od jakiegokolwiek moralnej reakcji, o ile to tyczyło sądu mego o uwielbianej kobiecie. Oczywiście, być jednym z wielu, zawdzięczać kaprynowi, że mi sułtanka rzuciła chusteczkę... przeciw temu burzyło się moje poczucie męskości. Lecz zanim o tym wszystkim się dowiedziałem, myślałem sobie niejednokrotnie: ta piękna osoba, niezbyt dbała o opinię, może od czasu do czasu korzystała z wolności stanu wdowiego — lecz jeśli mi się udało pozyskać jej względy, uprowadziłbym ją z tego wulkanicznego gruntu, ją i dziecko, a może, prędzej czy później, pogodziłaby się ze skromniejszym losem w mej ojczyźnie. Oczywiście taki sen wydawał mi się zawsze chimera. Lecz jej *No!*, którym odpowiedziała hrabiemu, wzmacniało moją wiarę w cuda. A wreszcie nasza rozmowa tuż przed rozstaniem... Wszystko mogłem o niej pomyśleć, tylko nie to, że mogła być fałszywa, igrać z biednym przybyszem, gdy tyle mu okazała miłości i dobroci.

A teraz... Czyż można myśleć o uczciwym, trwałym posiadaniu, o czystych planach na przyszłość? Wszak jej mąż żył. Wiedział o tym cały Rzym... A ja, gdybym naprawdę był szaleńcem i memu bogobojnemu ojcu, mej dobrej starej matce sprowadził do domu tę obcą kobietę... pod jakim nazwiskiem... z jakimi widokami... początkujący architekt, niemający jeszcze ani jednego zamówienia... szaleństwo!

<sup>98</sup>Penelopa (mit. gr.) — żona Odyseusza, matka Telemacha, wzór wiernej żony. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>Wenus z Milo — marmurowa rzeźba z okresu hellenistycznego, ideał piękna. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>Samarytanki — mieszkanka Samarii, krainy historycznej między Galileą a Judeą. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>Miałaś siedmiu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twym mężem!... (rel.) — w Ewangelii św. Jana mowa jest o pięciu mężach (J 4,15). [przypis edytorski]

<sup>102</sup>Antinous (111–130) — grecki młodzieniec, protegowany i kochanek cesarza Hadriana, przedstawiany w rzeźbie i na monetach jako ideał młodzieńczego piękna. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*Pour le Mérite* (fr.) — „za zasługi”, pruski order wojskowy. [przypis redakcyjny]

<sup>104</sup>Secchi, Angelo (1818–1878) — włoski uczonej i jezuita, zajmujący się fizyką, matematyką i astronomią. [przypis edytorski]

A ten zdrajca, Kurt, chodził wciąż po pokoju tam i z powrotem i mówił o niesłychanym szczęściu, jakie mnie spotkało. Jak gdyby do właściwego szczęścia nie trzeba było właściwego człowieka!

— Kurcie — powiedziałem wreszcie — nie mówmy o tym więcej. Jak się to skończy, Bóg raczy wiedzieć. To jednak jest pewne, że zazdrość nie wciśnie się w naszą starą przyjaźń. Gdybyś prócz lekkomyślnych i cynicznych uwag mógł mi dać środki, bym ten stosunek poprowadził dalej w stylu eleganckiej awantury, miałbyś rację, mówiąc, że przywiozłem ze sobą do Włoch więcej szczęścia niż rozumu. Dopóki jednak jestem biednym stypendystą pruskiego ministerstwa, któremu ponadto łotr wykradł z kieszeni ostatni grosz, nie nadaję się, by mieć za kochankę „najpiękniejszą kobietę Rzymu”. Powiedz mi więc lepiej, ile mi możesz pożyczyć pieniędzy?

Spojrzał na mnie wielkimi oczyma; widząc jednak, że mówię to serio, wzruszył ramionami, wyciągnął spod kamizelki pugilares<sup>105</sup> i począł na stole liczyć kupkę dukatów<sup>106</sup>.

— To na razie cały mój majątek — powiedział. — Za cztery tygodnie spadnie nowy deszcz. Do tego czasu podzielimy się po bratersku.

Przypadło na moją część tyle, iż mogłem swobodnie odetchnąć, wyswobodzony na razie z trosk o utrzymanie. Następnego ranka, gdy zapukał do moich drzwi krawiec Girolamo, by z polecenia *signory* Gemmy dowiedzieć się, jak spędziłem noc, mogłem się temu *galantuomo*<sup>107</sup> szczerze wywdzięczyc. Z początku nie chciał nic przyjąć; *signora* obdarowała go już sowicie. Wreszcie poszedł sobie, bardzo ukontentowany, zaofiarowawszy mi wszelakiego rodzaju usługi.

Pospieszyłem następnie zapewnić małego doktora, że nie miał do czynienia z niedźwiedzikiem. Był on jednak przez piękną Gemmę lepiej poinstruowany lub też z twardszego materiału. Obawiałem się, że go obrażę, gdybym dłużej nalegał. Nie szczędził mi upomnień i wzywał do prowadzenia regularnego, rozsądnego trybu życia.

— Masz organizm niedźwiedzi, mój synu — powiedział rubasznie — obecnie mogę panu wyznać: nie liczyłem zupełnie, że pan wyzdrowieje. Teraz pan wyrwał się z grobu, o ile go sobie pan z powrotem nie wykopie. Rozumie mnie pan? *Giudizio, figlio mio!*<sup>108</sup> Musi pan przeżyć najbliższych kilka tygodni tak, jak gdyby pan zamieszkiwał celę w katakumbach. Daję panu dziewięćdziesiąt lat życia, jeśli pan będzie się stosownie zachowywał. Ale wino i kobiety, notabene<sup>109</sup> rzymskie wino i rzymskie kobiety, to dla was, niedźwiedzi z Północy, zaraza. Pan mnie zrozumiał...

Zbyt dobrze cię pojąłem, doktorze Susina. Lecz nie potrzebowałem twych kazań. Unikałem tej zarazy z tchórzostwa i nie ludziłem się, że to tchórzostwo zasługiwało na szlachetniejszą nazwę „rozsądku”.

Kurt przychodził co dzień. Był moim *cicerone*<sup>110</sup> z początku w powozie, potem pieszo, gdy mi coraz więcej przybywało sił. Dziwaczny człowiek, o którym panu innym razem opowiem. Rzym znał jak własną duszę; wśród innych okoliczności byłoby to bezcenne dać się oprowadzać takiemu doskonałemu przewodnikowi po najbardziej ukrytych zakamarkach starożytnej i średniowiecznej sztuki i po najcudowniejszych widokach. Wówczas jednak widziałem wszystko jak przez mgłę, oglądałem wszystko wielce roztargniony, wciąż jedną tylko myśl w sobie przeżuwał. O mojej aferze sercowej nie mówiliśmy ze sobą ani słowa. Jakby w cichym porozumieniu, unikaliśmy starannie ulicy, na której mogłem się spodziewać... lękać... że ją ujrzę. Nie widziałem jej też ani razu — nie, przecież raz ją ujrzałem w powozie, gdy z córeczką jechała przez Pincio. Byłem przypadkowo sam, mógłbym być zbliżyć się do niej bez wysłuchania uwag ze strony mego ducha opiekuńczego. Skryłem się jednak szybko, drżąc na całym ciele, za jakiś płot i widziałem, gdy przejeżdżała; zdawało mi się, jakby z wyrazem zdziwienia na twarzy zwróciła głowę w tę stronę. Ale jak błyskawica postać zniknęła.

<sup>105</sup>*pugilares* (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*dukat* — złota lub srebrna moneta, używana w Europie od średniowiecza do początku XX wieku. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*galantuomo* (wł.) — poczciwy, szlachetny człowiek, dżentelmen. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*Giudizio, figlio mio!* (wł.) — Rozsądku, mój synu! [przypis redakcyjny]

<sup>109</sup>*notabene* — wyraz wtrącony w tekst, poprzedzający dodatkową informację. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*cicerone* (wł.) — przewodnik. [przypis redakcyjny]

Powziąłem już decyzję, co mam począć. Poznawszy nieco Rzym, chciałem wyjechać, zanim jeszcze minie trzytygodniowy termin. Rzym jednak jest tak wielki, że nawet dla pobieżnego zwiedzenia nie wystarcza tak krótki czas człowiekowi uprawiającemu sztukę. Więc zwlekałem z dnia na dzień. W głębi duszy spodziewałem się czegoś wyzwalającego, nieprzewidzianego... Zapomni o mnie, wyjedzie, z jakimś nowym przyjacielem pokpiwać będzie z mej niezaradności.

Wprawdzie co dzień otrzymywałem od niej wiadomości, często mały jakiś upominek, owoce lub flaszeczkę słodkiego wina, ale nigdy listu. Nie była „literacko” usposobiona, a poza tym cóż miałaby mi pisać? Również i ja tylko ustnie odpowiadałem na jej pytania i przesyłki. W dzień przed upływem trzytygodniowego terminu zjawiała się zamiast krawca Girolama żona jego, a z nią — Bicetta. Gdy mnie dziecko poczęło ścisnąć, rzucać się na szyję, wycalowywać i bez końca rozkosznie paplać — było to ponad moje siły. Począłem konwulsyjnie lkać, wcisnąłem twarz w gęste włosy małej główki, aż mi się wreszcie udało opanować. Wyjąłem z zapakowanego już kufra mały naszyjnik koralowy, który w Neapolu kupiłem dla mej najmłodszej siostry, powiesiłem go na szyi Bicetty, wziąłem ją na kolana i począłem karmić ląkociami, które mi jej matka przysłała, a których nie tknąłem.

— Dlaczego jesteś taki smutny? — zapytywała raz po raz.

Powiedziałem, że boli mnie rana, zaś żonie krawca poleciłem oświadczyć pani Gemmie, że w najbliższych dniach przyjadę, by się pożegnać; upał szkodzi mi — było to w połowie maja — toteż lekarz wysłał mnie w góry.

Tak sobie to obmyśliłem, by ją zwieść; miało to być pożegnanie na zawsze, gdyż wcale nie zamyślałem spędzić lata w górach. Gotówka, którą posiadałem, starczyła tylko na powrót do domu.

Następnego dnia, około dziesiątej — wieczorem miałem odjechać, miejsce w dyliżansie było już zamówione, na południe umówiłem się z Kurtem w *trattorii*, poza tym nie było nic do załatwienia prócz, ach, jak przykrej, wizyty w domu przy korsie — słyszę nagle zajeżdżającą dorożkę, przyskakuję do okna i widzę: z dorożki wysiada Gemma... Po chwili słyszę jej głęboki głos, wypowiadający moje nazwisko, gospodyni biegnie przodem, by otworzyć drzwi — jest u mnie...

\*

Miałem wrażenie, jakby podłoga na pokładzie okrętu poczęła falować; oparłem się o poręcz krzesła, zrobiwszy wprzód kilka kroków, i wyjąkałem kilka banalnych słów. Ona jednak zdawała się wcale nie spostrzegać mego zmieszania. Spokojnie rozejrzała się po izbie, skinęła mi przyjaźnie głową i powiedziała wreszcie:

— Oto jestem. Chcę tylko się dowiedzieć, jakie ma pan plany, Arrigo. Doktor Susina utrzymuje, że nie mówił panu ani słowa o lotnisku w górach, zgadza się jednak z tym planem. Powiedz, kiedy chcesz odjechać. Moje kufry będą w mig spakowane, a mnie jest obojętne, dokąd pojedziemy. Na wszelki wypadek lepiej byłoby wprzód się rozpatrzyć w Albano<sup>111</sup>, Ariccia<sup>112</sup>, gdzieś, gdzie powietrze będzie dla pana najodpowiedniejsze. Potrzebuje pan wciąż jeszcze opieki i pielęgnacji; toteż będzie najlepiej, jeśli ja z panem pojedę. Nie mogę przecież Girolama co dzień wysyłać w góry, by się dowiedzieć, jak się panu spało.

Stałem przed nią jak przychwytywany złodziej. Wiedziałem jednak dobrze, że jestem stracony, jeśli natychmiast między nami nie stanie prawda jako mur ochronny.

— Gemmo — powiedziałem — zawstydzą mnie pani tym nowym dowodem dobroci. A ja... nie mogę tego przemilczeć, gdy tak wielkodusznie wobec mnie postępujesz... ja chciałem panią zwieść. Nie w góry odjeżdżam, tylko na Północ, do domu, tak daleko od pani, iż żaden szal nie rzuci mnie z powrotem do twych stóp. Jestem ci tyle winien... czyż tysiącną część zdołam kiedy wypłacić... Gdyby pani była biedną, bezradną istotą...

— Chwała Bogu, że nią nie jestem! — przerwała, wciąż jeszcze spokojnym tonem, ale jej czarne oczy przybrały dziwny, niemal groźny wyraz. — Co za głupstwa pan tu mówi! Czy już żal panu, że wyznałeś mi swą miłość? Czy było to tylko pod wpływem

<sup>111</sup>*Albano Laziale* — miasto i gmina we Włoszech, w regionie Lacjum, w prowincji Rzym. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*Ariccia* — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Lacjum, w prowincji Rzym. [przypis edytorski]



stanu gorączkowego, a teraz chcesz możliwie najszybciej uciec do swej zimnej ojczyzny, by ostatnia iskra zagasła tam pod śniegiem?

Pozwoliłem jej mówić do końca; musiałem być rozważny, jeśli mnie nie miał porwać jej głos, jej wzrok, jej niewysłowiony urok. Zdobyłem się na możliwie największy spokój i począłem jej tłumaczyć, w jakim położeniu się znajduję. Sprzeciwia się to memu poczuciu honoru, by dłużej korzystać z jej gościnności, a to tym bardziej, iż nie mógłbym się kontentować samą jej przyjaźnią. Nie ukrywałem przed nią, iż żądałbym wszystkiego lub niczego: posiadania jej na wieki lub nagłego wyrzeczenia się na zawsze. Wiem, iż szaleństwem jest pomyśleć, że i ona tę sprawę tak serio traktuje jak ja. A przecież, gdyby była wolna...

— Wolna? — przerwała. — Czy nią nie jestem? Mój mąż opuścił mnie w ohydny sposób. A zresztą... ha, wiem, że ci już o mnie mówiono. Tak, nie byłam święta. Kto jest temu winien? Ale jakakolwiek była moja wina — z własnej woli nigdy nie zaprzedałam się żadnemu mężczyźnie. A jeśli masz na myśli markiza — ten pod moim progiem skomlał długo jak pies. Dopiero gdy się dowiedziałam, że traci z powodu mnie resztę rozumu, okazałam się łaskawsza. Było to może zbyt późno; bowiem często grozą mnie przejmowała bliskość jego, popełniał szaleństwa, zwłaszcza gdy miał dzień zazdrości. Tak, *ten* mnie kochał, a nie tylko mówił o miłości, jak pewni ludzie... Temu nie wpadłoby na myśl chyłkiem się wykraść pod pozorem, że ja „sprawy serio nie traktuję”. A wreszcie, gdy go prawie przemocą od siebie oddaliłam, gdyż rodzina jego w Neapolu groziła wyrzeczeniem się go, jeśli mnie nie opuści, tak rozpacział u moich nóg, iż byłabym się zachwiała w mym postanowieniu, gdybym go była rzeczywiście kochała. Był to jednak gwałtowny, samolubny człowiek, a przy tym nudził mnie jak piękne zwierzę, z którym nie można rozmawiać. Toteż byłam rada, gdy go przestałam widywać; spodziewam się, że młodą hrabiankę, którą ma poślubić na rozkaz ojca, zdoła bardziej uszczęśliwić niż mnie. Wolna! Byłam nią. Lecz nie czułam się dobrze. Może mnie to przez jakiś czas bawić, gdy władam głupcami, a serce moje przy tym jest wolne. A jednak, widzisz, Arrigo, nawet mego męża, który był stary i zły i tylko wobec świata się ze mną dobrze obchodził — nawet jego nie byłabym zdolna zdradzić, gdybym go mogła szanować. A wtedy byłam jeszcze tak dziecinna. Teraz... w nocy, w której cię napadnięto... leżałam w łóżku i rozmyślałam nad wszystkim, co przeżyłam, i nad tym, jak źli są mężczyźni, jak brutalni i zimni mimo żaru namiętności, i co się ze mną stanie, jeśli nigdy nie spotkam mężczyzny, który by był dla mnie dobry, któremu bym nie musiała kłaść nogi na kark, lecz szanować go niemal jak ojca, kochać jak kochanka. A gdy tak myślę i modłę się do Madonny, by mi przecież objawiła swą łaskę i przysporzyła tych rozkoszy, które widywałam u dobrych, serdecznych małżeństw — słyszę na dole jęki i wołania o pomoc... Leżałeś wtedy u progu mych drzwi, a gdy ci po raz pierwszy spojrzalam w twarz, zrozumiałam, że Madonna wysłuchiwała mą prośbę i znalazłam człowieka, którego mi wolno kochać, nie pogardzając sobą...

\*

Runąłem na krzesło, kolana się pode mną ugiwały; wzrok mój utkwiony był w podłogę, czułem bowiem, że gdybym teraz spojrzął na jej piękną, poważną twarz, byłoby po mnie...

Czekała, czy coś powiem; gdy jednak zachowywałem milczenie, przybliżyła się i powiedziała tonem jeszcze spokojniejszym:

— Madonna nie sprawiła mi zawodu. Jeśli nawet teraz udajesz złego, ja wiem, że jesteś dobry, najlepszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Poznałam to choćby po tym, jak się zachowywałeś wobec dziecka... Widzisz, inni też małą pieścili, lecz chodziło im tylko o pozory i byli kontenci, gdy dziecko wysyłałam z pokoju. Ty zaś zajmowałeś się nim jak piastunka, uczyłeś je różnych rzeczy, nigdy nie objawiałeś zniecierpliwienia, brałeś je nawet w obronę przede mną. Chciałam ci się nieraz rzucić na szyję, gdy to widziałam, lecz powstrzymywałam się. Nie wiedziałam jeszcze, czy i ty mnie kochasz. Byłam nawet trochę zazdrosna, gdy z nią więcej rozmawiałeś niż ze mną. Jest ona rozsądniejsza ode mnie, zdolniejsza, mogłaby się świetnie rozwinąć, gdyby nie rosła tak dziko jak jej matka i gdyby zaznała zarówno prawdziwej miłości, jak i prawdziwej surowości. Widzisz, dlatego

Miłość, Pozycja społeczna

Przecucie, Mężczyzna

Dziecko

też nas nie opuścisz, ty zły człowieku, lecz zostaniesz przy kobiecie, która cię kocha, i przy jej dziecku, które cię potrzebuje, bo jesteś dobry. A teraz nie mów więcej tak głupich słów. Żebraw! Jak długo ja nie jestem żebrawką, nie ma mowy między nami o pieniądzach; zrozumiałeś, głuptasku?

— A potem? — wtrąciłem — potem, Gemmo?

— Potem... jesteś młody i artysta, a dość jest królów i książąt, którym będziesz budował pałace. Teraz nie masz nic innego do roboty, jak tylko nie burzyć pałacu, który wzniesiemy sobie w górach. Nie zadasz kłamu Madonnie, chociaż jesteś heretykiem. Więc? Czy pan mój siedzi wciąż jak posąg kamienny, któremu uszy na głowie wyrosły tylko dla ozdoby?

— Gemmo — powiedziałem — myśl o mnie, co chcesz, pogardzaj mną, znieńwidź, ale to niemożliwe!

— *Chè, chè!*<sup>113</sup> *Ja chcę, słyszysz? A jeśli chcę, to być musi. Dzień ten pozostawiam ci, byś załatwił swe sprawy. Dziś wieczorem przyjdiesz i powiesz mi, że się zdecydowałeś i będziesz grzeczny, i nie będziesz więcej mówił o niemożliwości. Do dziewiątej drzwi moje są otwarte. Matkę zostawimy tu w mieście, wiem, że nie lubisz jej. Lalla, żona Girolama, pojedzie z nami, a naturalnie też twoja laleczka, Bicetta. Cierpliwości! Osiem dni pod moją opieką, a nie będziesz miał tak białych policzków. Powiedz, czy twa rana już całkiem zablizniona?*

I, nie czekając odpowiedzi, rozpięła mój surdut, odchyliła koszulę, tak iż rana stała się widoczna.

— Wciąż jeszcze okropny widok! — powiedziała. — Krwawa gwiazda, która jednak nie zapowiada wojny, lecz piękny, słodki pokój. Nieprawdaż, mój przyjacielu?

Zamilkła i patrzyła wciąż na bliznę. Nagle pochyliła się ku mnie i przycisnęła swe miękkie wargi do rany, ciepło jej ust przeniknęło całe moje ciało.

— Tak! — rzekła. — Teraz rana będzie ci przypominała mnie, byś dziś wieczorem na pewno się zjawił. *Addio!*<sup>114</sup>, kochanie! Jak dziecko cieszę się tobą i naszym szczęściem. Nie, nie odprowadzaj mnie. Tak lepiej. Do widzenia wieczorem!

I zanim mogłem się podźwignąć, była za drzwiami, a po chwili usłyszałem, że dorożka odjeżdża.

\*

Czy może sobie pan wyobrazić, w jakim usposobieniu pozostałem? Nie, nie może pan, wszelka wyobraźnia jest na to zbyt uboga. Kto nie widział tych oczu, nie słyszał tego głosu, nie był przez sześć tygodni pod urokiem...

Dość! Nagła śmierć byłaby w tej chwili dla mnie łaską niebios, gdyż wciąż słyszałem słowa, które mi powiedziała, i ten refren; „Musisz przyjść, bo jesteś mój, bo nie zadasz kłamu Madonnie!” — i zawsze odpowiadał inny głos: „To niemożliwe, nie wolno ci przyjść, wszystko lub nic, na zawsze lub nigdy!”

Nie wiem, co pan o tym wszystkim sądzi, czy pan mnie też nazwie, jak Kurt, tchórzliwym idealistą. Ja sam później tak o sobie myślałem. Ale cóż pan chce? Byłem synem bogobojnego pastora... Tylko łotr daje więcej, niż ma.

Walka wewnętrzna nie skończyła się jeszcze. Wybiegłem z domu, nie mogłem znieść ludzkiej twarzy, przez kilka godzin błąkałem się po mieście jak człowiek, który lekkomyślnie poprzysiął, że dokona morderstwa, a teraz jest miotany sprzecznymi uczuciami: to wstrętem wobec zbrodni, to obawą o krzywoprzysięstwo. Gdy o zmroku wróciłem do domu, powiedziała mi gospodyni, że był tu Kurt i zapowiedział swe przyście przed wyjazdem dyliżansu. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że w południe miałem się z nim spotkać. Nie jadłem przez cały dzień. Kazałem przynieść wina i duszkiem wychyliłem szklankę. Potem usiadłem, by napisać list, którego treść obmyśliłem po drodze; uważałem go za arcydzieło wymowy, szlachetności, dumy męskiej. Jeszcze raz wyjaśniłem jej, co mnie powstrzymuje od pójścia za nią — rozumie się, że ani słowem nie wspomniałem o jej przeszłości, jej reputacji. Nie mogłbym żyć z dobroci i dochodów kobiety, choćbym ją najbardziej kochał, właśnie dlatego, że ją Kocham. A potem następowaly słowa

Konflikt wewnętrzny, List

<sup>113</sup>*Chè, chè!* (wł.) — No, no! [przypis redakcyjny]

<sup>114</sup>*addio* (wł.) — żegnaj. [przypis edytorski]

pożegnania, najgorętsze zapewnienia wiecznej, niezapomnianej miłości — ach, głupiec! Płomienie na papierze. List o szczęściu, które właśnie niweczyłem, atrament zamiast krwi serdecznej — piękna zamiana! A byłem przy tym dumny ze swego włoskiego stylu!

Odczytałem właśnie list po raz wtóry i włożyłem do koperty, gdy zapukano do drzwi i bez czekania na mą zgodę wszedł nieznan mi, wysoki, czarnooki młody Włoch.

Zapytał: *signor* Arrigo? — i uklonił się zimno, sztywnie, jak gdyby przed pojedynkiem.

Powstałem, odpowiedziałem skinieniem głowy i wskazałem na krzesło.

— Nie będę dużo czasu zajmował — rzekł — co mnie do pana sprowadza, da się krótko załatwić. Duszno tu u pana, a ja — zbliżył dłoń do czoła — cierpię na kongestie<sup>115</sup>.

Podszedłem do okna, otworzyłem je na oścież. Przy tym obserwowałem dziwnego gościa. Rzadko widziałem tak piękną postać młodzieńca, twarz godną marmuru. A przecież w bladych rysach było coś, co raczej odpychało, niż przyciągało: rys zarazem zmęczenia, jak i dzikości, niesamowity, niestały błysk oczu, czasem drganie dolnej wargi jak u nerwowego, drapieżnego zwierzęcia.

Był ubrany wedle najnowszej mody, na palcu lewej ręki nosił wielką antyczną kameę, w krawacie tkwiła szpilka brylantowa. Bujne czarne włosy były w nieładzie, wicherzył je stale swymi wielkimi białymi palcami.

— Jestem markiz L. — powiedział, stojąc na środku pokoju. — Zna pan zapewne moje nazwisko, gdyż jest pan u Gemmy niejako moim spadkobiercą. Nie mam zamiaru o to się z panem i z nią prawować. Opuściłem ją, mogła robić, co jej się podobało. Nie robię też przed panem tajemnicy z tego, że rozstałem się z nią wbrew mej woli, by poślubić młodą damę, którą mi ojciec przeznaczył za żonę. Byłem zależny od ojca, groził mi wydziedziczeniem, jeśli się sprzeciwię jego woli. Byłby to niewątpliwie uczynił; mężczyźni w naszym rodzie są konsekwentni i wykonują zawsze to, co sobie postanowili. Nie pozostawało więc nic innego, jak albo Gemmę opuścić, albo zarówno siebie, jak i ją pogrążyć w ubóstwie, co uczyniłoby nas oboje nieszczęśliwymi.

Rozejrzał się po mojej skromnej izdebce, potem wyciągnął z kieszeni bardzo ozdobną papierośnicę i rzekł:

— Czy pozwoli pan, że zapalę? Jestem nieco wzburzony... Czy można panu służyć?

Podziękowałem odmownym ruchem głowy. Zapalił papierosa, który widocznie nie był kupiony u zwykłego *tabaccaro*<sup>116</sup>, oparł się o poręcz krzesła i zaczął:

— Przykro mi, że może panu przeszkadzam. Jest to jednak nieodzowne. Będę się skracał, będę się skracał — powtórzył kilka razy — widzi pan, przed trzema godzinami dopiero wróciłem, mój ojciec zmarł przed pięciu dniami nagłą śmiercią, przedwczoraj wieczór go pochowałem, wczoraj rano napisałem do mej narzeczonej, że zrzekam się zaszczytu zostania jej małżonkiem, potem jednym tchem, rozstawnymi końmi popędziłem do Rzymu i natychmiast udałem się do domu przy korsie. Wbiegłem na schody; Gemma jest w domu, o tej porze nigdy nie wychodzi, matka jej otwiera drzwi i wita mnie okrzykiem radości. Pytam o Gemmę, z początku robi tajemniczą minę, potem wchodzi do mieszkania, by oznajmić o moim przybyciu, wychodzi następnie i mówi, że Gemma jest chora i nie może mnie przyjąć. Miarkuję, że coś jest nie w porządku. Nalegam, by nic przede mną nie ukrywała. Na szczęście zawsze się mnie trochę bała, toteż dowiedziałem się...

Gwałtownie odepchnął krzesło i począł krążyć po pokoju.

— Wybacz pan — ciągnął po chwili przerwy — nie przyszedłem tu, by pana obwiniać, uczynił pan to, co zrobiliby każdy na pańskim miejscu. Ale pan pojmie, że mnie to nie może zadowolić. Sytuacja się zmieniła, mogę pójść tylko za głosem serca, jestem zdecydowany znowu korzystać z mych dawnych praw. Mimo mych próśb i nalegań nie mogłem ujrzeć Gemmy. Matka jej powiedziała mi, że oczekuje ona pana dziś wieczorem. Przykro mi, że muszę panu powiedzieć nieprzyjemne rzeczy: spodziewam się, że pan ustąpi i wybije sobie z głowy dalsze stosunki z nią.

Miałem czas, by odzyskać całkowicie zimną krew.

<sup>115</sup>*kongestia* (daw.) — uderzenie krwi. [przypis redakcyjny]

<sup>116</sup>*tabaccaro* (wł.) — handlarz tytoniem. [przypis redakcyjny]

— Mój panie — powiedziałem — rozporządza się pan czymś, co nie jest w pańskiej mocy. Gdy mowa o prawach, to znam tylko jedną osobę, która ma prawo godzić się lub odmawiać. Jeśli Gemma zamyka przed panem drzwi, co to mnie obchodzi? Uczestniczę w tym tak niewiele, że za dwadzieścia cztery godziny nie byłbym w ogóle w stanie przyjmować do wiadomości pańskich dziwacznych propozycji. Wyjeżdżam dzisiejszej nocy. Listem tym pożegnałem się z kobietą, której tyle zawdzięczam. Gdy jednak pan mówi do mnie tonem groźby, jestem zmuszony list ten osobiście oddać i panią Gemmę zapytać, czy nie potrzebuje moich usług. Jeśli mnie wówczas odprawi...

— Strzeż się pan! — przerwał, tłumiąc widocznie z trudem swój głos. — Znam upór Gemmy. Dopóki pan tu jest, nigdy pana dobrowolnie nie puści, choćby tylko dlatego, by mnie drażnić. Co się zaś potem stanie...

— Co się potem stanie — odpowiedziałem chłodno, ostro weń się wpatrując — tego ze spokojem będę oczekiwał, panie markizie. O ile znam panią Gemmę, nie ulegnie ona gwałtowi żadnego człowieka, który nie uszanuje jej wolności. Nie wiem, co sądzi o pańskim powrocie. Możliwe, że wywrze to na niej wrażenie, jeśli się dowie, że zerwałeś pan świetne małżeństwo, by do niej powrócić. W każdym razie muszę ją sam o to zapytać.

Podszedł do minie tak blisko, że poczułem na twarzy jego gorący oddech.

— Nie ośmieli się pan! — zawołał głosem, który stracił nagle wszelką dźwięczność. — Oddaj mi pan ten list, ja go sam doręczę, jedź pan, jedź z Panem Bogiem! Nie mam nic przeciw panu, mam wrażenie, że pan jest uczciwym człowiekiem, ale, na rany boskie, jeśli się pan odważy dziś wieczór przekroczyć próg Gemmy, zabiję pana jak wściekłego psa! To miałem panu do powiedzenia. *Addio!*

Ostatnie słowa wyrzekł z taką niepoohamowaną złością, że byłem przez chwilę na to przygotowany, iż rzuci się na mnie i zmusi do walki. Nagle jednak cofnął się, uklonił grzecznie, jak gdybyśmy najobojętniej ze sobą rozmawiali, i wyszedł z pokoju.

Nagle spokój mną owładnął. Teraz czułem się znów dobrze; wewnętrzne rozdwojenie, które mnie przedtem tak męczyło, ustąpiło. Wiedziałem teraz, co mam czynić. Nie mogłem bez pogardy dla samego siebie odjechać, zanim ją jeszcze raz zobaczę; a gdyby zażądała, bym dla jej ochrony pozostał, towarzyszył jej w góry, aby ją uchronić przed nagabywaniami tego gwałtownego wielbiciela — czyż mógłbym jej odmówić? Teraz nie byłem już biedakiem, którego w chwili kaprysu znalazła na ulicy i uszczęśliwiła swymi względami — teraz mnie potrzebowała, teraz mogłem bez ujmy dla mego honoru i bez przesadnej wrażliwości korzystać i nadal z jej gościnności.

Przez krótką chwilę gnębiła mnie nieprzyjemna myśl. Czy jej środki pieniężne nie pochodzą od tego, przed kim mam ją teraz bronić? Były to jednak nikle skrupuły wobec tego, że chodziło o bezpieczeństwo jej życia i o mój własny honor.

Wybiła siódma godzina; głód począł mi doskwierać. Wziąłem list i zastanawiałem się przez chwilę, czy nie należałoby mieć przy sobie broni na wypadek, gdyby szaleniiec zechciał wykonać swą groźbę; wziąłem jednak tylko laskę, która była w chwili niebezpieczeństwa pomocnikiem nie do pogardzenia, i udałem się na miasto w poszukiwaniu *trattorii*, w której mógłbym dobrą wieczerzą powetować obiad.

Na nieszczęście, przy jedynym stoliku, który był wolny, siedział *attaché*<sup>117</sup> mojej ambasady; powitał mnie bardzo serdecznie, a kiedy się dowiedział, że mam zamiar dzisiejszej nocy opuścić Rzym, nalegał, bym nie wyjeżdżał, nie pożegnawszy się z ambasadorem. Miał on się wyrazić, iż chce mi w pewnej osobistej sprawie powierzyć zlecenie. Czułby się też urażony, jeślibym po różnych uprzejmościach, których zaznałem od ekscelencji, nie złożył mu wizyty pożegnalnej. Jest właśnie w domu. To nie potrwa dłużej jak pół godziny.

Irytował mnie ten niemiły zbieg okoliczności, lecz o wymiganiu się nie można było myśleć. Wsiadłem więc do powozu, pojechałem na Kapitol i poprosiłem o audiencję, której mi, oczywiście, natychmiast udzielono. Dziwną musiałem mieć minę podczas długiej rozmowy o starożytnej sztuce, w którą się ekscelencja ze mną wdał. Lecz wreszcie i to się skończyło, pożegnałem się, zastałem mego dorożkarza pod bramą, kazałem mu najkrótszą drogą pognąć w stronę korsa.

<sup>117</sup>*attaché* (fr.) — dyplomata, będący specjalistą w jakiejś dziedzinie. [przypis edytorski]

Z wieży wydzwaniano właśnie pół do dziewiątej, gdy wjeżdżałem na korso. Gemma miała na mnie czekać do dziewiątej. Więc jeszcze się nie spóźniłem, chyba na pocztę, do dylżansu.

Wreszcie stanęliśmy przed jej domem. Wtem... właśnie otwierałem drzwiczki powozu... otwierają się drzwi domu i na progu staje... nie, chwycie się jak pijak... wysoka ciemna postać, bez kapelusza, przystaje na chwilę, spogląda w prawo i w lewo, uderza się w czoło, mruży coś, co brzmiało jak: „*Dio mio!*” lub „*Sangue di Dio!*”<sup>118</sup>, i biegnie wprost w wąską Via de’Pontefici.

W pobliżu nie było latarni; lampka dorożki migotała słabo; poznałem go natychmiast. Twarz jego biała przez chwilę wpatrywała się w dorożkę, lecz widocznie niewiele go obchodziło, kto nadjechał. Widocznie pędził go strach. Przecucie i lęk sprawiły, że mój język zdrętwiał. Dopiero, gdy był już daleko, zacząłem krzyżeć. Lecz nie mogłem słyszeć.

Woznicy powiedziałem, by czekał, i pędem pobiegłem po ciemnych schodach. Cały dom zdawał się uspiiony, również i u Girolama było ciemno. Wbiegam na drugie piętro, znajduję drzwi do mieszkania Gemmy na pół otwarte, przebiegam sionkę<sup>119</sup>, pukam do drzwi frontowego pokoju, w którym mieszkałem. Nie ma odpowiedzi. Otwieram drzwi, drżąc na całym ciele, a wszedłszy, rzucam pierwsze spojrzenie w stronę Gemmy, spoczywającej na otomanie w czerwonym szlafroku, z głową opartą o poręcz. Widziałem każdy rys jej twarzy, gdyż w świeczniku palił się z tuzin świec, świeciły się też lampy na kominiku. Pierwsze wrażenie było: zdrzemnęła się. Gdy jednak na palcach zbliżyłem się, cicho jej imię wypowiedziałem, a teraz bardzo blisko... przyjacielu, co za okropny widok!... Tuż pod szyją, po lewej stronie, ciemna plama na sukni, z której sączy się wilgotna struga poprzez pierś, wąska purpurowa nić, wijąca się poprzez opadłą na łono rękę. Moja noga potknęła się o jakiś przedmiot, leżący na dywanie. Na wpół przytomny pochyliłem się i podniosłem... wąski, ostry nóż, który doktor Susina wyciągnął z mego barku i który obecnie znowu dostał się w me ręce, pokryty świeżą krwią.

Odrętwienie moje trwało tylko kilka sekund; pobiegłem potem przez ciemny przyległy pokój do izby, gdzie stały łóżka staruchy i Bicetty. Paliła się tam tylko lampka przed obrazem świętym w kącie; z trudem rozpoznawałem przedmioty, słyszałem jednak głęboki oddech starej kobiety, która w ubraniu leżała na łóżku, widocznie kompletnie pijana. Wielka, prawie całkiem wypróżniona butelka stała na komodzie, a wiedziałem, że co wieczora, ułożywszy dziecko do snu, upijała się do nieprzytomności. Potrząsałem nią, krzychałem, by ją obudzić. Gdy wreszcie otwarła oczy i poznała mnie, podskoczyła gwałtownie, lecz ja nie czekałem więcej, jeno zbiegłem ze schodów, zacząłem się dobijać do drzwi Girolama i zawołałem, by pędem biegł po lekarza... panią zamordowano!... Potem znów wbiegłem na schody i pośpieszyłem do nieszczęsnej ofiary.

Pochyliłem się nad nią i próbowałem podnieść jej głowę; wyrwałem z kieszeni chustkę i przycisnąłem do krwawej plamy pod szyją. Ból przywrócił jej przytomność. Na ustach pojawił się smętny uśmiech; otworzyła powoli ciężkie powieki. Gdy mnie poznała, zamknęła oczy, a wzruszający wyraz radości pojawił się na jej twarzy; ręce jej poczęły się poruszać, jakby szukały moich rąk.

Delikatnie oparłem jej głowę o moje ramię i drugą ręką dotknąłem jej zimnych palców.

— To ty! — szepnęła, mając wciąż oczy zamknięte — teraz mi dobrze. Wiedzia-  
łam, że przyjdiesz; ale dlaczego tak późno? Gdy przedtem zapukano, myślałam, że to ty... matka spała już... sama poszłam, by otworzyć, a to był on. Dziś w południe... nie wpuściłam go, nie chciałam go nigdy więcej widzieć... między nami wszystko skończone... on jednak nie chciał o tym słyszeć. Kochanku mój, drżałam, gdy pomyślałam, że go tu zastaniesz, on jest taki niepohamowany w swej złości; wiedziałam, że jeśli się z nim nie rozmówię... nie spróbuję go powstrzymać... z pewnością zemści się na tobie... Tak! podeprzyj mnie nieco... jestem śpiąca... oczy mi się zamykają... Potwór! Bestia! Gdybyś był słyszał, jak tu szalał, groził, płakał, leżał u kolan, potem ścisnął moje ręce, aż z bólu chciałam krzyżeć... ale śmiałam się i traktowałam go jak chłopaka, którego się za ka-

Przecucie, Strach,  
Morderstwo, Krew,  
Zbrodnia, Zbrodniarz

Śmierć, Przemoc

<sup>118</sup>*Dio mio! Sangue di Dio!* (wł.) — Boże mój! Na krew Chrystusa! [przypis redakcyjny]

<sup>119</sup>*sionka* a. *sien* — pomieszczenie prowadzące do wnętrza domu. [przypis edytorski]

rę stawia do kąta. Chciał się o tobie dowiedzieć... powiedziała mu, że jesteś dobrym człowiekiem i moim przyjacielem, subtelniejszym niż on... powiedziała mu, jak to się stało. Tu leży jeszcze nóż — powiedziała — była to okrutna rana... tu w łopacie... bez pomocy Madonny nie bylibyśmy go uratowali. A on... nagle wyjął nóż z pudełka, długo go oglądał i począł się śmiać takim głosem, że mi się włosy na głowie zjeżyły. „Gemmo! — zawołał — przysięgnij mi na Madonnę, że go nigdy więcej nie zobaczysz, bo...” — przystąpił do mnie, chwycił moje ramię i począł je ścisnąć. „Przysięgnij!” — mruzczał. Ujrzałam nad sobą jego twarz... białka jego oczu błysnęły, zęby zgrzytały... w tej chwili cała moja duma się obudziła... wytrzymałam jego groźny wzrok i powiedziałam: „Idź precz! wiesz, że groźbami u mnie nic nie wskórasz. Robię, co chcę... gdy się jest dla mnie łagodnym, jestem i ja łagodna... kto mnie chce zmusić...”. „Przysięgnij! — powtarzał coraz głuchszym i dzikszym głosem... — przysięgnij!...” „Nie! nigdy!” — powiedziałam głośno i zebrałam wszystkie siły, by go odtrącić... Wtem... mój Boże!...

Jej rysy nagle się zmieniły, głos zamarł, z trudem poczęła dyszeć... Zimny pot zrosił mi czoło. Zdawało mi się, że to już koniec. Dreszcz, który wstrząsał jej ciałem, ustąpił, raz jeszcze otworzyła oczy, a blade wargi uśmiechnęły się.

— Powalam cię całego krwią — szepnęła — co za głupia historia!... Ale lekarz, który cię postawił na nogi... a ja jestem jeszcze taka młoda... byłoby to tak pięknie, gdybyśmy byli szczęśliwi!... Głupi chłopaku, jakiś ty bladej... Nie, nie ma niebezpieczeństwa... Zdejm mi suknię z pleców, ciąży mi jak ołów... widzisz, prawie w tym samym miejscu... nie boli... powoli, powoli!... Teraz mi lepiej... powietrze chłodzi... jestem piękna, nieprawda?... Te barki, ta pierś... wszystko byłoby twoje... och! A teraz... Arrigo! — zawołała nagle i ucałowała mnie jedyny raz w usta — bo ja muszę umrzeć... umrzeć... umrzeć!

Pochyliłem się nad nią, głośno szlochając. Otworzyła usta. Gdy przycisnąłem do nich wargi, uczułem, że jej zęby się zacisnęły, potem głowa opadła i w ramionach trzymałem trupa.

\*

Milczał, a ja... cóż miałem powiedzieć? Siedzieliśmy przez dziesięć minut obok siebie bez słów, niebo się zachmurzyło, trudno już było dostrzec pyszną linię kopuły Świętego Piotra i smukły grzbiet Monte Mario poprzez mgłę, która się unosiła nad Tybrem. Tylko robaczek świętojański krążył dokoła nas i opadł wreszcie na brzeg mojej szklanki. Mój towarzysz zbudził się z głębokiego zamyślenia.

— Drogi przyjacielu — powiedział — nie jest to dobrze, że opowiadaniem swym przerywam spokój umarłych... Jak widzę, i pana to mocno wzruszyło. Lecz pojmie pan... nie miałem spokoju. Jest niedorzecznością przywiązywać wagę do pewnych dni, daty są przesadami, nonsensami, punktami tylko w nieskończonej linii. Lecz człowiek jest niewolnikiem absurdów. Chodźmy! Musimy wreszcie stąd pójść. Spodziewam się, że się pan na mnie nie gniewa, iż przed panem wskresilem te stare upiory...

Uścisnąłem jego dłoń, wstaliśmy, zapłaciliśmy za wino i ruszyliśmy do domu.

— Jak pan to wszystko przeżył?... — zapytałem.

— Tak jest — odpowiedział — sam się temu dziwię. Ale gdy nie dopomoże mały kawałek wyostrojonej stali, nie do wiary, ile wytrzymać mogą nasze muskuły! Nie straciłem nawet przytomności; trzymałem ją wciąż w ramionach jak kochanek swą narzeczoną. Potem usłyszałem na schodach krzyki i hałasy. Mnóstwo ludzi wpadło do pokoju, sąsiedzi, domownicy, gawiedz, jakiś lekarz, którego z ulicy sprowadzono, w końcu policja. Wraz z nią wpadła i starucha, rzuciła się, wyjąc, na umarłą, wrywała sobie włosy i podskoczyła wreszcie jak furia, wskazując na mnie jako na mordercę. Wiedziałem oczywiście dokładnie, jak się rzecz miała naprawdę, lecz cóż mi to pomagało, że zapewniałem o swej niewinności? Nikt nie widział markiza, wchodzącego do domu, nikt nie chciał w ogóle wierzyć, że jest w Rzymie, gdyż widziano go odjeżdżającego do Neapolu na ślub. Brutalne dłonie ujęły mnie wśród wściekłych okrzyków i gróźb i nie mogłem być nawet obecny, gdy moją umarłą kochankę składano na łóżku. Nie wolno mi było po raz ostatni ucałować jej rąk, jej czoła. Nawet nie pozwolono mi pożegnać się z dzieckiem, które podczas całego tego okropnego zdarzenia spokojnie spało.

Tej samej nocy mnie przesłuchano. Ta sama niewiara i to samo zakłopotanie, gdy żądano, bym dał jakiś dowód mej niewinności. Tak było też i w następnych dniach. Strażnik więzienny powiedział mi, że Kurt robi rozpaczliwe wysiłki, by się do mnie dostać, że również i ambasador ujął się za mną — wszystko nadaremnie. Dopiero czwartego dnia, gdy się już oswoiłem z myślą, że padnę ofiarą rzymskiej sprawiedliwości, i gdy się tylko tym pocieszałem, że nie przeżyję długo ukochanej kobiety — nagle otwarły się drzwi mej celi i wszedł wierny przyjaciel.

Padliśmy sobie w ramiona i wyplakaliśmy się. Nie byłem wcale ciekaw, co mi ma do powiedzenia, i nie pytałem też o nic; gdyśmy sobie spojrzeli w oczy, tylko to jedno mogliśmy w nich wyczytać: nie ma jej więcej między żyjącymi...

Potem zaczął mi opowiadać, że pół Rzymu uczestniczyło w jej pogrzebie, nie tylko żebracy, którzy znali ją wszyscy, lecz również i najwytworniejsza młodzież, w długim szeregu powozów. Gdy już grób był poświęcony, wszczął się ruch w tłumie i ze stu ust odezwało się wołanie: markiz! Był to on rzeczywiście, bez kapelusza na głowie, w zupełnie zaniedbanym stroju; na twarzy rysowały się ślady szaleństwa. Przystąpił do otwartego grobu, wyciągnął ramiona i zawołał:

— Teraz będziesz miała spokój, więdźmo, i nikogo więcej nie będziesz doprowadzała do szaleństwa. Dobranoc — dobranoc!

A potem z dzikim śmiechem:

— Widzisz, że stać się musi to, co ja chcę? Leżysz teraz w łóżku; czy słuchasz, jak do drzwi puka ten drugi? On nie przyjdzie! On wie, że śmierć stoi na twym progu. Szkoda! Wołałbym, by się było stało inaczej, ale nade wszystko sprawiedliwość!

Wyrzucił wciąż z siebie potok bezsensownych słów, aż otaczający opamiętali się i poczęli gwałtem go usuwać. On jednak opierał się; wskoczył wreszcie do grobu, wołając, by go razem ze zmarłą zasypano ziemią, gdyż nie może patrzeć w słońce, które jest tak czerwone jak rana na szyi kochanki.

Musiano go związać i w ten sposób odprowadzić, po czym grób pokryto wieńcami i kwiatami.

Ja zaś byłem wolny!

Jak zdołałem przeżyć następny okres... nie wiem. Jedynej pociechy, którą byłbym miał, pozbawił mnie los. Chciałem bowiem zobaczyć dziecko, przycisnąć do serca biedną sierotkę i stale się nią zaopiekować. Mimo mego ubóstwa mogłem się przecież podjąć być ojcem i opiekunem Bicetty. Nie chciałem jej pozostawić u złej staruchy; zamierzałem zabrać ją z sobą i wychować razem z moimi siostrami. Z Kurtem poszedłem do domu, którego widok przypominał mi całą grozę ostatnich przejść. Gdy przechodziłem obok drzwi Girolama, wyszła jego żona i zalkała głośno na mój widok. Zapytałem o dziecko. Przed kilku dniami starucha znikła, na próżno wszędzie czyniono poszukiwania. I ja też poruszyłem niebo i ziemię. Lecz wobec ówczesnych fatalnych stosunków w rzymskiej policji poszukiwania nie dały żadnych wyników. Wszelkie ślady przepadły, jakby staruchę z dzieckiem ziemia pochłonięła.

Pogrzeb, Szaleniec,  
Szaleństwo

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/heyse-wiedzma-z-korsa/>

Tekst opracowany na podstawie: Paul Heyse, *Wesele na Capri*. Nowele włoskie, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1959.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu *Wolne Lektury* (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: *Włoszka z Procidy koło Neapolu*, Tytus Maleszewski (1827–1898), domena publiczna

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do *Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur* i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).